

ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁY W PŁOCKU
NR 38, LISTOPAD 2009, EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY IM. KRÓLA MACIUSIA I
Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej w Liceum im. Wł. Jagiełły

29 listopada 2009 roku

GŁOŚNE CZYTANIE NOCĄ



***Ludzie
powstania listopadowego***

**Państwo Elżbieta i Tomasz Zbrzezni oraz Wiesław Kopeć
Młodzieżowy Dom Kultury im. Króla Maciusia I
Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej
w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły**

29 listopada 2009 roku

**„23. Głośnie czytanie nocą”
*O POWSTANIU LISTOPADOWYM
w 179. rocznicę***

Powstanie listopadowe – polskie powstanie narodowe przeciw Rosji, wybuchło w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku, a zakończyło się 21 października 1831 roku. Zasięgiem swoim objęło Królestwo Polskie i część prowincji zabranych (Litwę, Żmudź i Wołyń).

*Opowieść dzisiejsza będzie opowieścią o ludziach powstania listopadowego, jedyne powstania, które mogło wygrać; bardzo wiele zależało od ludzi.
Jak opowiedzieć tekstami o tym wielkim wydarzeniu?*

Tomasz Zbrzezny

Przywódcy powstania listopadowego

- gen. dyw. **Józef Chłopiński**, 3 grudnia 1830 – 17 stycznia 1831.
- gen. dyw. **Michał Gedeon Radziwiłł**, 20 stycznia – 26 lutego 1831.
- gen. dyw. **Jan Zygmunt Skrzynecki**, 26 lutego – 12 sierpnia 1831.
- gen. dyw. **Henryk Dembiński**, 12 sierpnia – 17 sierpnia 1831.
- gen. bryg. **Ignacy Prądzyński**, 16 sierpnia – 19 sierpnia 1831.
- gen. dyw. **Kazimierz Małachowski**, 20 sierpnia – 7 września 1831.
- gen. dyw. **Kazimierz Małachowski**, 7 września – 10 września 1831.
- gen. dyw. **Maciej Rybiński**, 10 września – 23 września 1831.
- gen. dyw. **Jan Nepomucen Umiński**, 23 września – 24 września 1831.
- gen. dyw. **Maciej Rybiński**, 24 września – 9 października 1831.

W tekstach źródłowych zachowano oryginalną pisownię z niewielkimi zmianami.

W biogramach korzystano z Wikipedii.

Na okładce: *Bitwa pod Stoczkiem*. Obraz Jana Rosena z 1890 r.

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku
Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20
lwjszkola@jagiellonka.plock.pl;
Opiekun merytoryczny projektu: Tomasz Zbrzezny. Opiekun zespołu: Wiesław Kopeć,
wkopec1@wp.pl; Zespół redakcyjny: członkowie Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej.

*Nie był Łukasiński wodzem, był tylko sługą swego narodu...
Imię jego dzwoni głuchym brzękiem wiecznych kajdan.
Sama postać błąka się na uboczu naszych dziejów porozbiorowych
jak błady, mglisty, zagadkowy cień.*

Szymon Askenazy (1866 – 1935)

Biogram uczonego w numerze 35. „Zeszytów Jagiellońskich”: **Klasyki historiografii**,
część III – Przed zachodem Słońca.

Walerian Łukasiński

Z książki Szymona Askenazego pt. „Łukasiński” (Warszawa 1908)



*„...O swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział.
Nie pomniał. Jego pamięć, zapisana cała, Jak księga
herkulańska, pod ziemią spróchniała..!”
(Adam Mickiewicz „Dziady” cz. III)*

*„Wytrwania! Wytrwania /O dajże im, Boże, /niech siły ich nie
zmamią. /Bądź srogie więzienie /wieczyste me łoże /i żywot
jedyną męczarnią. /Niech wloką, niech wloką, /niech w lochy
zakują, /niech sępy żrąją me ciało, /by ino tym braciom, /co
dzwonią w Warszawie, /zwycięstwo się walki dostało..!”
(Stanisław Wyspiański, Noc listopadowa)”*

WALERIAN ŁUKASIŃSKI urodził się w Warszawie w 1786 roku. Otrzymał staranne wykształcenie, pracował sam wiele nad sobą. Odbył kampanię 1809 r., służył jako major w wojsku Królestwa Kongresowego, pod komendą Wielkiego Księcia Konstantego. Był twórcą i kierownikiem tajnych organizacji „Wolnomularstwa Narodowego” i „Towarzystwa Patriotycznego.” Policja rosyjska, wpadłszy na ich ślad, uwięziła Łukasińskiego (w 1822 roku). Skazany na ciężkie więzienie, osadzony był w Zamościu, potem w Warszawie. Wielki Książę Konstanty, ustępując ze stolicy po wybuchu powstania listopadowego, zabrał ze sobą więźnia przykutego do armaty. W podziemiach twierdzy Schlüsselburskiej męczył się aż do śmierci Łukasiński za swą gorącą miłość ojczyzny. **Przez Rosjan był uważany za głównego inspiratora powstania listopadowego** i dlatego pozbawiono go należnego mu prawa do amnestii w 1856 r., która objęła nawet dekabrystów. Dopiero w 1862 roku otrzymał pozwolenie na spacerowanie po więziennym dziedzińcu, dostęp do wiadomości oraz prawo posiadania materiałów piśmiennych, co umożliwiło mu spisanie pamiętnika. Umarł w więzieniu w 1868 roku po 46 latach męczeństwa i tam został pochowany.

Nie był Łukasiński wodzem, był tylko sługą swego narodu... Imię jego dzwoni głuchym brzękiem wiecznych kajdan. Sama postać błąka się na uboczu naszych dziejów porozbiorowych jak błady, mglisty, zagadkowy cień. Pewnego dnia wzięto tego człowieka od swoich, od ludzi, gdzieś go męczono, gdzieś pogrążono na pół wieku, na zawsze i gdzieś wreszcie pochowano... Dzieło jego osobiste zniszczono w zarodzie, męka pozostała bezpłodną. Ale był on w usiłowaniach swoich i cierpieniu wykładnikiem wielu doniosłych stron wewnętrznych bytowania Królestwa Polskiego, był wykładnikiem prób i porywów targającego się ze swoim przeznaczeniem, krzywdzonego, łudzonego, źle i obłudnie rządzonego narodu. Okropny, bezprzykładny jego los związany jest tajemnicami z całym kompleksem pierwszorzędnym spraw i zagadnień, stanowiących o losie ówczesnym społeczeństwa i kraju...

Miał Łukasiński uzdolnienie mierne, umysł powolny, przenikliwy, subtelny. Umiał też, bez intuicji, drogą natężonej refleksji, dochodzić do koncepcyj głębszych, do inicjatywy kierowniczej. Cechowała go nie tyle lotność, ile spokojna, oględna rozważa, cechowało nade wszystko wielkie poczucie odpowiedzialności. Myślał logicznie, surowo, ściśle, a co raz w myśli przetrwał, to z żelazną konsekwencją, bez litości dla siebie i innych, wcielał w czynie... W stosunkach z ludźmi była w nim nieufność, była zaciętość, we własnej twardej prawości mająca swe źródło, nie darująca nikomu, aż mściwa. „Kuty charakter”, tak określano go w rodzinie... Wyrzucano mu obojętnie „zimne”, maniery „tyrańskie”. W rzeczywistości pod chłodną powłoką gorzał w nim skupiony zapał, chowała się tajona tkliwość. Niełatwo oddawał swój szacunek, ale wtedy chętnie sercem i głową się korzył. Ambicji osobistej nie miał, żywił tylko szlachetną ambicję służenia swemu narodowi. Te cechy skarbiły mu zaufanie, wysuwały go na czoło, aczkolwiek brak intelektualnej przewagi odbierał mu możliwość utrzymania rządu dusz w całej pełni i równowadze. Był zamknięty, małowówny, a kiedy głos zabierał, bezwzględny; zwykle panujący nad sobą, lecz zniecała wybuchający niepohamowaną zapalczywością. Typowa w nim była dusza mazurska...

Taki to człowiek powołany został do objęcia przewodnictwa w służbie narodowej jednej z najtrudniejszych i najniewdzięczniejszych, wymagającej zupełnego zaparcia się siebie a połączonej z odpowiedzialnością niezmierną: w tajnej robocie związkowej. On to zorganizował Wolnomularstwo Narodowe i Towarzystwo Patriotyczne, zniszczone w zarodzie przez wrogie potęgi, on to za usiłowania swe i porywy na mękę bezprzykładną skazany został...

Każń Łukasińskiego trwała lat 46... Aresztowany w 1822 roku i osadzony w więzieniu karmelickim, wyrokiem sądu wojennego przeniesiony w dwa lata potem do twierdzy Zamościa, stamtąd do Warszawy, nigdy już nie odzyskał wolności, po co raz to innych tułał się ciemnicach i jeszcze pozgonnie znękanie swe kości oddał więziennej schlüsselburskiej ziemi... **Gdy w nocy 29 listopada 1830 r. rewolucja wybuchła w Warszawie**, zbudzić musiały Łukasińskiego płynące z miasta coraz bliżej, coraz potężniej huki, okrzyki, strzały, dzwony na trwogę; zerwać się on musiał w ciemności i, uciszając brzęk kajdan i bicie własnego serca, z zapartym oddechem chwytać głucho odgłosy rozpętanej dokoła burzy: a jakież tej długiej nocy miotać nim musiały uczucia, strach narodowej klęski, nadzieja zwycięstwa, przedsmak swobody, rozpacz bezsilności. Rozpacz tępa, śmiertelna, dopieroż przytłoczyć go musiała, kiedy nazajutrz, 30 listopada, o 10-ej z rana, wołyńcy w szyku bojowym, w widocznym już odwróceniu przed rewolucją, wystąpili z koszar i, wzięwszy go przemocą w środek szeregów, uprowadzili z sobą za miasto. Stąd zabrano go przy wyjściu wojsk rosyjskich z w. księciem Konstantym z Królestwa. Po raz ostatni widziano Łukasińskiego we Włodawie, w nędznej siermiędze, z brodą po pas, ciągnionego pieszo na postronku, pod strażą konną z dobytymi pałaszami, jak go prowadzono precz z kraju za Bug. „Rosjanie sami z politowaniem o nim mówili”. Wleczony dalej do Bobrujska, przewieziony został, na rozkaz samego Mikołaja, saniami, po zamarźłej Ładodze do Schlüsselburga i tam zamknięty w podziemiach „Sekretnego Zamku”...

Twierdza Schlüsselburg, wznosząca masywne swe baszty tuż opodal rwistej Newy, na nieprzystępnej skalistej wyspie Ładogi, miała za sobą sławę ponurą, jako historyczne miejsce niewoli... Było to schowanie, cmentarzysko polityczne, gdzie grzebano winowajców i winy stanu.

Komendant twierdzy odebrał sekretny rozkaz, aby Łukasińskiego ukryć tak, by nikt o nim nie wiedział. Umieszczono go w podziemiu starożytnej wieży, położonej w pośrodku twierdzy, zwanej „Sekretnym Zamkiem”, obejmującym trzy kondygnacje kazamatowe. Ponure po nim tułały się widma. W kamiennej kazamacie górnej trzymaną była ongi carowa Eudoksja, żona Piotra Wielkiego; w dolnej męczył się i zginął car Iwan; jeszcze niżej mieściła się kazamata podziemna, dość obszerna, bardzo niska, przytłoczona granitowym sklepieniem, na ubitej gołej ziemi, mroczna, chłodna, cmentarnie zaciszna: tutaj zamknięty, pogrzebany został Łukasiński. Odcięto go zupełnie od świata i ludzi. Pilnującym żołnierzom wzbroniono najsurowiej wszelkiej z nim rozmowy, w milczeniu podawano mu strawę, a w wypadkach koniecznej potrzeby wejścia do jego lochu, nie inaczej jak kilku razem wpuszczano tam strażników. Spowiednika, o którego wielokrotnie prosił, odmówiono... Tak żył, albo raczej tylko nie umierał Łukasiński. Odtąd w ciągu całej ćwierci wieku brak

wszelkiego śladu jego istnienia... Pierwsza naoczna o nim wiadomość przysłała dopiero od rewolucjonisty rosyjskiego, **Michała Bakunina**, więzionego w Schlüsselburgu od 1854 do 1857 roku. Na początku swego zamknięcia ujrzał on Łukasińskiego, kiedy ten, wyjątkowym sposobem, z powodu choroby, wyprowadzony był ze swego lochu na przechadzkę. „W czasie, gdy nas wypuszczono na powietrze — **opowiadał później Bakunin** — dnia jednego uderzyła mnie postać starca z długą brodą, jakkolwiek zgięta, wojskowej postawy. Strzegł go osobno oficer tak, aby nikt nie zbliżał się do niego. Starzec chodził powolnym, słabym, miarowym krokiem, nie oglądając się na nikogo. Od jednego z oficerów dyżurnych dowiedziałem się w zaufaniu, iż ów więzień był to major Łukasiński. Cała moja usilność odtąd była, aby móc go jeszcze zobaczyć, przemówić do niego; ułatwił mi to zacny oficer. Po kilku tygodniach, w czasie jego dyżuru, znów wyprowadzono Łukasińskiego; sposobem umówionym zawczasu, niepostrzeżony od współwięźniów, doszedłem go z bliska i półgłosem zawołałem: „Łukasiński”. Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie wpółzaciemnione oczy. „Kto?”, zapytał. „Więzień od tego roku”, odrzekłem. „Który rok?”, zapytał. Odpowiedziałem. „Kto w Polsce?”, Mikołaj. Konstanty?”, „Nie żyje”. „Co w Polsce?”, „Wkrótce dobrze będzie”, odpowiedziałem. Odwrócił się nagle, stanął, widziałem przyśpieszony oddech jego, obejrzał się, po chwili szedł znowu zwykłym, słabym, miarowym krokiem, powoli, ze spuszczoną głową. Kiedy znowu nadszedł czas dyżuru oficera tego, pierwsze moje pytanie było o Łukasińskiego. Powiadał, że był przez kilka dni niespokojny, majaczył; przypisywali to powietrzu. Powrócił następnie do swego półsennego stanu. Pytałem oficera, czy on nie może przemówić kiedy do nieszczęśliwego, pomóc mu w czym? Odparł, że do jego celi wchodzi się tylko we trzech, nie wolno inaczej, więc nic nigdy nie można uczynić. Więcej Łukasińskiego nie widziałem”.

Tymczasem umarł Mikołaj I, na tron wstąpił Aleksander II, surowa przeszłość zdawała się iść w zapomnienie, nowe, lepsze nastawać czasy. Dzięki manifestowi amnestijnemu młodego monarchy z września 1856 roku, najciężsi nawet skazańcy poprzedniego panowania, dekabryści, potępieni za powstanie zbrojne i myśl carobójczą, wychodzili z więzień na wolność, z kopalni syberyjskich powracali do domów rodzinnych: w podziemiu Sekretnego Zamku po dawnemu, bez zmiany, bez kresu agonizował Łukasiński. Pierwotny siedmioletni termin więzienny podług wyroku sądowego i confirmacji Aleksandra I, nawet dowolnie zdwojony rozkazem w. ks. Konstantego, termin czternastoletni, skończył się od dawna. Nie trzeba tu było amnestii, skoro przeczerpane były od szeregu lat najsurowsze, spadłe na skazańca sankcje karzące, skoro odtąd żadnej nowej nie było winy ani kary. A jednak o zmianie jego okropnego losu nie było mowy... W 1858 roku siostra Łukasińskiego, Tekla, zwróciła się do Aleksandra II z najpoddąszą petycją za nieszczęśliwym, zatraconym bratem, ale prośba jej została bez odpowiedzi...

Dopiero po upływie dalszych lat kilku doczekał się Łukasiński niejakiego ulżenia swej doli. W 1861 roku nowy komendant Schlüsselburga, generał major Leparskij, poruszony widokiem bezprzykładnej męki Łukasińskiego, podjął starania celem przywrócenia mu częściowej bodaj wolności. Stwierdził, że więzień w ciągu 31 lat zamknięcia w twierdzy zachowuje się dobrze, znosi swój los bez szemrania, z pokorą chrześcijańską, i uważałby dla siebie za największą łaskę uwolnienie z zamknięcia w Sekretnym Zamku... Zaznaczył, że starzec to 75-letni, zgrzybiały, słaby, źle słyszy i dotknięty jest chorobą kamienia... Starania Leparskiego nie zostały bezowocne: 9 marca 1862 roku wyprowadzono Łukasińskiego ze sklepień Sekretnego Zamku i „objawiono o miłosierdziu Najjaśniejszego Pana. Wzniósł on ręce do góry i lzy gorące zrosiły pierś starca”... W jego byciu więziennym dokonała się zasadnicza poprawa, otrzymał znośniejsze warunki życia, większą swobodę ruchów, celę widną i stosunkowo wygodną, trochę ubrania i najniezbędniejszych przedmiotów użytkowych: stół, przybory piśmienne, książki, czasem gazety. Dopuszczono też do niego księdza katolickiego, z którego rąk przyjął sakramenty. Miał możliwość bywania w domu Leparskiego, gdzie okazywano mu szacunek i troskliwość. Odwiedzali go z Petersburga współczujący Rosjanie, przyjeżdżano oglądać go, jak dziwowisko, była jakaś gorycz upokarzająca w tej litościwej ciekawości obcych. Ale tędy też dochodziły go wieści z zamurowanego dlań dotychczas świata zewnętrznego, a przede wszystkim z Polski. Dowiadywał się naraz, co w ciągu długiego czterdziestolecia, kiedy on nie należał do żywych, stało się ważnego w świecie, co mianowicie stało się w Polsce i co w niej odbywało się w tegoczesnej przelomowej dobie dziejowej 1862 — 63 r. A odbywały

się tam, w tym kraju, zbudzonym, jak Łukasiński, z ciężkiego snu więziennego zapowiedzią połowicznej swobody, rzeczy wielkie i nieszczęsne: zbierało się, wybuchło i padło powstanie styczniowe.

Za wiele tego było dla zmęczonej duszy schlüsselburskiego więźnia. Jedyne w swoim rodzaju był proces psychiczny, rozgrywający się w człowieku, który wychodził jak gdyby z grobu po latach czterdziestu, a do którego głowy i serca napływała naraz zbyt silna fala faktów i wrażeń, najżywiej wstrząsających jego myślą i czuciem. Napływ tak nagły i obfity do biednego, wyschłego, spopielonego od cierpień mózgu kazał mu wprawdzie odruchowo zatętnić raz jeszcze gorączkowym życiem, lecz zarazem wykruszył w nim szczyrby, kędy sączyć się poczęło obłąkanie.

Pólobłąkany już Łukasiński we wrześniu 1863 roku przystąpił do spisywania rodzaju pamiętnika, będącego po części zbiorem luźnych wspomnień, po części testamentem i wywodem politycznych rozmyślań. Skończył to pismo własnoręczne „z nowym rokiem 1864”; w następstwie różnemi czasy przydał jeszcze „uwagi i niektóre oderwane myśli”. Widać, iż w drżącej ręce starczej ledwo posłuszne było pióro; z trudem nawet wysłowić się umiał dawną jędrną swoją polszczyzną, co chwila w jaskrawe wpadając rusycyzmy. Tem bardziej godne podziwu, jak z tej rannej, odrętwiałej duszy, mocą skoncentrowanego bólu i troski o naród, jeszcze tutaj wysokiej miary, dobywał się wysiłek, jak zwłaszcza ilekroć wypadało dotykać najdonioślejszych spraw narodowych, szlachetniała mowa, tężała myśl. Przebiegał Łukasiński dobę Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, wspominał o własnych pracach i doświadczeniach, jak najmniej wysuwając swoją osobą, przede wszystkim rzecz publiczną mając na oku... Wielokrotnie na tych kartach przedśmiertnych wypisywał głębokie słowa najpotężniejszego mocarza, Napoleona, „że moc nic nie tworzy”, i powracał do nich uparcie, jakby dla dodania sobie otuchy... Myśl swą o Polsce i dziejowej jej sprawie z Rosją streścił Łukasiński w pięciu „punktach” ostatecznych, obejmujących jego „testament”.

„Nie jestem już z tego świata. Wolny od obawy i nadziei, wolny od przesądów, uprzedzeń i namiętności, mało stykając się z obecnością, żyję tylko w przeszłości. Przeszłość jest moje stanowisko, w którym gotuję się do dalekiej podróży w nieznanne kraje przyszłości. Tak usposobiony, wkrótce spodziewam się stanąć przed tronem Wszechmocnego i poniosę akt oskarżenia przeciw niesprawiedliwości i tyranii: prosić będę nie kary, nie zemsty, a nawet nie surowej sprawiedliwości, lecz tylko poprawy dla winnych, pocieszenia i ulgi dla cierpiących, zgody, pokoju i błogosławieństwa dla obydwóch narodów... Mój głos jest mniej jak głos w pustyni, on nie będzie słyszany przez żadne żyjące jestestwo... Z urodzenia i wychowania Polak, nienawidziłem Rosji i jej mieszkańców. To były skutki wrażeń, jakie na mój dziecinny umysł zrobiły krwawe sceny 1794 r. Wiek, doświadczenie i lepiej poznana religia umiarkowały moje uczucia... Nie przestając kochać nad wszystko moją ojczyznę, nie mogę nienawidzić żadnego narodu... Urodzony i wychowany w religii katolickiej rzymskiej, jestem chrześcijaninem w duchu i prawdzie, szanując każde wyznanie i jego obrzędy, uważam tylko moralność i dobre uczynki... Moje ostatnie tchnienie będzie poświęcone ojczyźnie, ostatnia modlitwa za jej pomyślność i za pomyślność tych, którzy w nieszczęściu zostali jej wiernymi i dzielili z nią cierpienia”...

Na końcu poszytu, mieszczącego powyższe zapiski, nakreślona została przez Łukasińskiego „**Modlitwa**”, którą codziennie odmawiał, chodząc, póki zachował przytomność w dniach powolnego konania. Niezwykła ta „modlitwa” przedzgonna takie miała brzmienie:

Jest siła wyższa, która niszczy i miesza ludzkie. Boże Wielki! Ty podzieliłeś ziemię między narodami i językami, żeby każdy naród żył w oznaczonym mu miejscu i skropiwszy ziemię, na której się urodził, potem swoim za życia, pomieszał po śmierci swoje popioły i przydał jej płodności. Koczujące, a nawet dzikie ludy kochają ziemię, na której żyli i umarli ich przodkowie. Narody osiadłe jeszcze więcej mają przyczyn kochać swoją ojczyznę, gdyż zostawili w niej ślady swoich trudów i często broniąc ją, skropili krwią własną. Straciwszy ojczyznę, człowiek przestaje prawie być człowiekiem. Żli, chciwi, niesprawiedliwi mieszają ten przyrodzony porządek, tak jak mieszają go codziennie we wszystkich społeczeństwach złoczyńcy.

Wzrastają i kwitną społeczeństwa, skoro Twoja opatrzność daje im jedność, zgodę i dobrą radę, oddalając straszne porywy ludzkich namiętności. Chylą się i upadają, jeżeli im usuniesz swojej pomocy, odbierzesz radę i jedność, wystawiając ich na igrzysko żywiołów i namiętności ludzkich. To się stało z nieszczęsną ojczyzną moją!... Twoja opatrzność zesłała na ziemię bohatera [przypis red.: Napoleona], który część jej wskrzesił i wlał w serca nadzieję, że cierpienia nasze wkrótce się zakończą.

Niestety, niedługo trwało to omamienie... Potem zjawił się Aleksander, ofiarowując pomoc i potężne ramię... Ujrzyliśmy wkrótce, że nie może on być ojcem naszym i protektorem, że odmówił mu Swej mądrości, wytrwania w dobrem i błogosławieństwa... Mikołaj pokazał, że podobnych monarchów dają niebiosy na ukaranie narodów... Aleksander II zdawał się lepszą obiecywać przyszłość. Jednak pod panowaniem jego zlały się na nas największe klęski, jakich mogliśmy doświadczyć...

Straciwszy zaufanie do ludzi, obracamy serca nasze i umysły do Ciebie, Boże Ojczyzn powszechny! Twoja opatrzność, która nie zapomina o najmniejszym stworzeniu i słyszy głos ptaszyny w gnieździe, wołającej o żywność, usłyszy głosy milionów biednych ludzi.

Błagamy Cię, miłosierny Boże! Oddal od nas kielich, z którego z obrzydzeniem i wstrętem tak długo pijemy, lub daj nam od razu wypróżnić go aż do dna i uleczyć nasze boleści. Lecz jeżeli zechcesz jeszcze doświadczyć nas i oczyścić z nieprawości, przedłużając boleści nasze — wlej w serca ufność w Tobie, a da nam ona odwagę, cierpliwość i zachowa od rozpacz.

Uzbrojeni tą ufnością, nie boimy się prześladowców, którzy chcą nam wydrzeć religię ojców i zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Jęki i płacz żyjących, krew drogich ofiar wylana dla ojczyzny, modły dusz poległych jej cnotliwych synów, które są już przed Twoim obliczem — dają nadzieję, że koniec cierpień naszych się zbliża. Jeżeli będzie wola Twoja, podniesiesz z prochu wybawiciela, dasz mu mądrość i potęgę i pójdzie on w imię Twoje, zawstydydzi możnych i zmusi ich do wyznania, że jeszcze jest coś wyższego w górze, które miesza zamiary śmiertelnych”...

W czerwcu 1865 roku Łukasiński tknięty został apopleksją. Przez kilka miesięcy był, wedle słów własnych, „tylko chodzącą maszyną, myślącą jakby można najprędzej odprawić się ad patres”... W ostatnim pozostałym piśmie odnajdujemy następujące zdania: „Gdzie jestem? Kto jestem? Samotny i obcy, jak bajeczny Żyd wieczny tułacz, bez schroniska i bez ojczyzny... Cóż mi po świecie całym, skoro nie mogę odnaleźć ojczyzny mojej i grobu?”...

Wiosną 1866 r. był jeszcze Łukasiński na nogach i nie tracił nadziei odzyskania wolności... Z 1867 r. nie ma żadnego o nim żywego śladu. Zdaje się, że w tym czasie zupełnie utracił przytomność. 27 lutego 1868 r. komendant twierdzy Schlüsselburskiej złożył Aleksandrowi II raport następujący: „W. C. M. najpoddaniej donoszę, iż trzymany w powierzonej mi twierdzy sekretny aresztant Łukasiński dnia dzisiejszego z woli Bożej pomarł”.

Ciało pochowano w Schlüsselburgu; duch spoczął w Polsce...

Postać **Waleriana Łukasińskiego**, tajnego więźnia Mikołaja I, męczennika Sprawy Polskiej, więzionego przez 46 lat, w tym aż 37 lat w najsurowszej twierdzy carskiej - Schlüsselburgu, przypomniał **Władysław Terlecki** w wydanej w 1999 roku książce **"Wyspa Kata"**.

"Wyspa Kata" jest dyskursem o wierności wyznawanym ideałom, o patriotyzmie, wyborach dokonywanych w sytuacjach ostatecznych, o godności i honorze. Dyskurs ów prowadzi dobiegający kresu życia więzień, rozmawiając sam ze sobą, a właściwie z Widmem - będącym jego portretem sprzed kilkudziesięciu lat, przywołanym z zakamarków pamięci.

Dramat i gehenna Łukasińskiego inspirowały wielu twórców. Wspominał o nim **Mickiewicz**, pisał **Garczyński**, **Krasiński** i **Wyspiański** (w „Nocy listopadowej”), jego postać wprowadził **Wacław Gąsiorowski** do „**Księżnej Łowickiej**” i **Tadeusz Hołuj** do „**Królestwa bez ziemi**” (w t.2/więzienie w Zamościu).

(za: <http://jborowsk.w.interia.pl/walerian%201/najnowszy.htm>)

„rewolucje, jak zwykle, zaczynają młodzi zapaleńcy”

Maurycy Mochnacki (1803 – 1834)

Urodził się 13 września 1803 roku w Bojańcu, gmina Mosty Wielkie pod Żółkwią, zmarł 20 grudnia 1834 roku w Auxerre. Był najważniejszym teoretykiem wczesnego romantyzmu polskiego, przywódcą młodych w Warszawie, publicystą politycznym, pianistą, **uczestnikiem i kronikarzem powstania listopadowego**. Napisał *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*. Był członkiem Związku Wolnych Polaków i Towarzystwa Patriotycznego. Żył 31 lat.

W czasie powstania był jednym z przywódców obozu radykalnego, przeciwnikiem działań Rady Administracyjnej i dyktatury Józefa Chłopickiego. Naczelnym wódz Siły Zbrojnej Narodowej Michał Gedeon Radziwiłł przesłał Mochnackiemu patent oficerski, jednak ten **jako szeregowiec zaciągnął się do 1 Pułku Strzelców Piesznych**, dowodzonego przez Piotra Szembeka i **wziął udział w bitwie pod Olszynką Grochowską**. Został ranny w ramię i nogę. Po zaleczeniu ran, już w stopniu oficera, **walczył pod: Okuniewem, Wawrem, nad Liwcem pod Długosiodłem i w bitwie pod Ostrołęką**. W bitwie tej został czterokrotnie ranny i już w okresie do upadku Warszawy nie brał czynnego udziału w walkach. Związał się z obozem dyktatora Jana Krukowieckiego.

Na początku 1831 r. założył, wydawany bardzo krótko, dziennik *Nowa Polska*. W numerze 22. z 26 stycznia pisał (pisownia oryginalna): „*Namże to car moskiewski śmie grozić zdala? nam najstarszym synom Europejskiej wolności? nam najokreszańszemu ludowi słowiańskiemu? nam, którzyśmy wczora święcili pogrobową uroczystością pamiątkę Bestużewa i Rylejewa? nam którzyśmy garstką bezbronnej młodzieży, wystraszyli najstarszego brata carów północy? Noc 29 listopada, uznanie rewolucji za narodową, odsądzenie Mikołaja od tronu polskiego ... - ochocza młodzież, waleczne wojsko: otóż panorama rewolucyjnego narodu polskiego, który obecnie zwrócił na siebie uwagę całej Europy.*”

Zaś w 230. numerze *Dziennika Krajowego* pod datą 22 sierpnia 1831 r. pisał (pisownia oryginalna): „*We wszelkiem politycznym działaniu trzeba mieć jakąś zasadę, wyciągniętą z filozoficznych rozumowań. Tą zasadą w sprawie restauracji polskiego narodu jest jego przeszłość historyczna, której teraz żadną miarą, ani się wyrzec, ani w niepamięć puścić nie możemy. Dzisiejszem dziełem naszym jest dzieło odzyskania. Jest to akt narodowej pamięci ocuczonej w nocy 29 listopada z długiego letargu. Czy prędzej, czy później wyjarzmimy się spod obcej przemocy, zawsze Polska nasza przynajmniej z jednej strony, z jednego względu mieć będzie zakrwawione oblicze i współczesnych przerazi pochmurnem wejrzeniem politycznego upióra... Albowiem nowej nie improwizujemy Polski, ale z grobu wywołujemy Ojczyznę... wygrzebujemy z gruzów starożytną budowlę, której części zebrać w jedną całość, potem zaś naprawić i tylko wewnątrz inaczej urządzić potrzeba.*”

Po klęsce powstania znalazł się na emigracji. Głosił poglądy ultrademokratyczne. Stworzenie przez Polaków własnej literatury uznał za warunek istnienia narodu. Traktował Rosję jako wroga podstawowego Polski. Był naczelnym publicystą w "**Pamiętniku Emigracji Polskiej**" wydawanym przez Michała Podczaszyńskiego. Opublikował m.in. rozprawę *O duchu i źródłach poezji w Polsce* (1825, na łamach „Dziennika Warszawskiego”). W 1830 r. wydał *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, na emigracji zaś *Powstanie narodu polskiego*. Mochnacki **jest bohaterem wiersza Jana Lechonia**. Opisany jest tu jego koncert z 1832 roku, który odbył się w Metz.

(Źródło do biogramu: Wikipedia)

Noc 29 listopada.

Powstanie wojska i ludu w stolicy

Fragment dzieła: „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831” (Ks. II, rozdz. I).

Nad wieczorem dnia 29 listopada 1830 r., gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cywilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ruchu napadem na Belweder, szli po dwóch, po trzech różnymi drogami do lasku Łazienkowskiego, jedni z ukrytą krótką bronią palną, drudzy bez broni, ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabinów ze Szkoły Podchorążych. Niebo było pochmurne ten cały dzień, tak że zmierzch i noc prawie bez przedziału w jeden moment przypadły.

W Łazienkach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół godziny przed terminem; miało ich być wszystkich czterdziestu; lecz różne okoliczności, jak zaraz obaczymy, więcej niżeli o połowę tę liczbę zmniejszyły. W rozległej stolicy Polski oddziały garnizonu były jedne od drugich bardzo oddalone. Za hasło do wspólnego, jednoczesnego działania, o czym wszyscy w wigilią zostali uprzedzeni, miał służyć pożar browaru na Solcu; po tym dopiero znaku z południa plan sprzysiężonych zalecał podpalenie dwóch drewnianych budowli w przeciwnej stronie: w bliskości koszar gwardii wołyńskiej na Nowolipiu. Tą podwójną łuną oddziały garnizonu polskiego ruszone ze wszystkich punktów, z koszar Aleksandryjskich czyli Mikołajewskich, Sapieżyńskich i Ordynackich, tudzież z kwater w mieście i głównych wart, mogły z łatwością w jednej chwili rzucić się na nieprzygotowanego nieprzyjaciela, bądź w tych samych koszarach, bądź gdzie indziej rozbroić go i wziąć w niewolę, a potem wskazane pozajmować stanowiska.

Tak chciał mieć plan przepisany dla działań tej nocy, plan dobrze pomyślany, rozważony gruntownie i sądząc z wyższości sił naszych, łatwy do wykonania. Wszakże los psotny, który się śmieje z ludzkiej przezorności, tylko co wszystkiego na samym wstępie wniwecz nie obrócił. Czy zegar Łazienkowski szedł prędzej od miejskich zegarów, czyli też dwaj podchorążowie wyprawieni do wzniesienia pożaru na Solcu zbyt skwapliwie chcieli się uiszczyć z tego obowiązku: dość, że hasło do wspólnego działania i za wcześnie, i źle było dane, to jest chybiło w porze umówionej.

Ogień na Solcu błysnął na pół godziny przed szóstą, a zgasł o szóstej. Browar, stary, na wpół zbutwiały budynek, nasamprzód wcale nie chciał się zapalić. Wysocki za późno, bo dopiero dnia 28 listopada, żądał palnych materiałów od Karola Stolzman, porucznika artylerii, adiunkta w dyrekcji młyna prochowego. Żądał tego w niedzielę, kiedy pracownia ogniów wojennych była zamknięta, a powinien był, jak obiecał, porozumieć się w tej mierze ze Stolzmanem na kilka dni pierwej. W braku tedy palnych materiałów, mogących ułatwić to przedsięwzięcie i skutek jego uczynić niewątpliwym, dwaj podchorążowie musieli użyć słomy. Ogień wszczynał się z wielką trudnością i daleko pierwej, nim wszyscy z oddziału belwederskiego zdążyli przybyć do Łazienek: co naturalnie zaraz ich zmieszało i na różne opaczne naprowadzało domysły. Nabelak z Goszczyńskim spieszyli wtedy od głównej alei ku miejscu zgromadzenia akademików. W drodze postrzegają ten przedwczesny ogień, a w Łazienkach zastają ledwo kilkunastu z tych, co mieli przybyć. W tej samej chwili uderzono na trwogę ogniową w pobliskich koszarach. W mgnieniu oka powstaje niezmierny ruch naokoło. Posyłki konne i piesze przebiegały lasek we wszystkich kierunkach, z Belwederu do koszar, z koszar do Belwederu; namnożyło się świateł między drzewami, na odwachach dzwoniono i warty występować zaczynały. Za czasów carewicza służba ogniowa była dobrze urządzona. On sam miał we zwyczaju dojeżdżać do każdego pożaru czy we dnie, czy w nocy; mógł więc i tą razą wypaść z Belwederu. Z kilkunastu przybyłych akademików ledwo kilku zostało śród tego zamieszania; nareszcie i ci się rozprószyli w różne strony, żeby nie wpaść w ręce żołnierzy i policjantów. Ten alarm trwał w Łazienkach przeszło pół godziny.

Za wczesny i słaby ogień w browarze zgaszono bez wielkiej trudności. Ta okoliczność, jakkolwiek drobna, stawia sprzysiężenie w najprzykrzejszym położeniu i rodzi wszystkie złe skutki, jakie koniecznie z braku jednoczesności w działaniu na tak obszernym teatrze

wyniknąć musiały. Od tej chwili wszystko idzie oporem: związkowi w południowej części miasta, koło Belwederu i koszar jazdy moskiewskiej, nie mogli dać znać o sobie związkowym na tyłu innych punktach stolicy. Ci, nie postrzegając sygnału z południa, rozumieli, że tam się jeszcze nic nie stało i nie zaczęli działać; po terminie upływało więc dużo czasu — i oto **jedno nic, pochodzące z roztargnienia Wysockiego**, naraża całą sprawę, naraża przyszłość powstania.

Po chwili wszystko jednak znowu ucichło w Łazienkach. Rozsypany oddział zaczął się zgromadzać. Spiskowi wychodząc z za drzew pytają jeden drugiego o nazwisko, ale co dalej począć w tak szczupłej liczbie, po obudzeniu czujności nieprzyjaciela, nie wiedzą. Z krótkiej narady, którą wtenczas odprawili między sobą, wypadło, aby Nabelak poszedł na zwiady do Szkoły Podchorążych — o paręset kroków od mostu Sobieskiego. Udał się on tam, ale z niczym powrócił. Wysocki bawił jeszcze w mieście; nie nadeszli i ci dwaj podchorążowie, którym browar zapalić polecono. Szkoła była równie jak oddział belwederski zatrwożona; najbardziej lękali się podchorążowie, aby tych podpalaczy nie schwytano. Nastąpiła tedy druga pauza, przeciągła jak wiek, pauza nieczynności i oczekiwania wśród przyspieszonego krwi obiegu. Już godzina upływała od chwili naznaczonej do rozpoczęcia ogólnego ruchu! Chybiony sygnał, który miał wzruszyć całe miasto, który miał z miasta zapewnić pomoc podchorążym, demoralizował szczególnie młodych akademików, dość odważnych, żeby się rzucić pierwszym zapędem i w największe niebezpieczeństwo, lecz przy zimnej refleksji, do czego tyle czasu mieli, zaczynających już mierzyć otchłań bez gruntu, co się przed nimi roztwierała. Ta przewłoka, nastrojająca wysoko żywą, młodocianą fantazją, była bolesna.

Nabelak i Goszczyński idą powtórnie do Szkoły Podchorążych. Na próżno — i tą razą żadnej jeszcze znikąd wiadomości. Dopiero wracając spotykają Wysockiego przybywającego z miasta w towarzystwie Szlegla, Dobrowolskiego, Paszkiewicza i Rottermunda. Wysocki z dwoma pierwszymi pobiegł zaraz do Szkoły; Paszkiewicz i Rottermund woleli połączyć się z wyprawą na carewicza. Od tej chwili inny duch wstąpił we wszystkich. Wyniesiono karabiny podchorążych Moskali, którzy udawali, że nie postrzegają tego, co się około nich działo. Gdy się Szkoła uzbrajała, Nabelak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły: było wszystkich ośmnastu z Paszkiewiczem i Rottermundem tudzież dwoma podchorążymi Trzaskowskim i Kobyłańskim, którzy oddział prowadzić mogli jako dobrze znający **Belweder** we środku. Rozdzielili się na dwie równe części. Jedna część, pod komendą Trzaskowskiego, udała się w górę drogą ku rogatkom mokotowskim, **żeby wpaść do Belwederu od frontu** przez główną bramę. Tężsi, silniejsi z postawy składali ten oddział, bo odwagę moralną mieli wszyscy jednaką. Druga część, pod dowództwem Kobyłańskiego, ruszyła do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu na przypadek, jeżeliby p t a s z e k, jak się wyrażali spiskowi, wyleciał do ogrodu.

Oddział od frontu dochodząc do bramy podwoił kroku i nagle z przerażającym okrzykiem: „**Śmierć tyranowi!**”, wleciał na dziedziniec. Kilka osób tam będących uciekło natychmiast i przymknęło za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą i przy pomocy innych wysadził je z zawias. Potłuczono szyby w dolnych oknach, przy ciągłym wołaniu: „**Śmierć tyranowi!**” Już natenczas szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami, Głuche naokoło milczenie! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu. Wpadają na górę, odmykają, a raczej wyłamują jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy. Czynią niezmierny hałas, wszystko wywracają w siedzibie tyrana, lecz jego samego nie znajdują.

W przysionku sali audiencjonalnej wysoki mężczyzna stoi przyczajony za drzwiami na pół otwartymi; zdawał się chcieć uniknąć niepochybnej zguby. Poznany i pchnięty kilku bagnetami pada na posadzkę, lecz nie umiera, bo go tylko niewprawne jeszcze ręce dotknęły. Był to wiceprezydent miasta Lubowidzki, którego zła gwiazda na chwilę przed tym napadem sprowadziła do Belwederu z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucji. **Powstanie zastało carewicza śpiącego.** Za pierwszym na dole okrzykiem kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka i wpycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżny Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. **U księżny miała miejsce malarska scena.** Ledwo nie u stóp

Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany; gdy carewicz wbiegł do pokoju księżny w nieładzie nocnego odzienia, kazała ona pokłekać kobietom wkoło niego i na głos odmawiać pacierze, pewna, że wśród zastępu silnego modlitwą i płcią żadna go zemsta z rąk polskich nie dosięgnie. W takiej postawie, z gestami okazującymi bojaźń największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tym gronie przez kilka minut, nieprzytomny, błądy i słowa wyrzec nie mogąc. W godzinę jeszcze potem drżał jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemię zakładać.

Oddział zemsty narodowej splądrowawszy całe górne i dolne pomieszkane prócz pawilonu księżny Łowickiej, jak wleciał, tak wyleciał z pałacu pędem wichru, lecz pierwiej na dziedzińcu jedną jeszcze ofiarą swe odwiedziny uczynił pamiętniejszymi. „Najnikczemniejszy z nikczemnych”, jak go sam w. książę nazywał, nieodstępny towarzysz, koniuszy, pierwszy faktor carewicza, **generał Gendre**, spieszący do pobliskich stajen, wpadł wtedy w ręce spiskowych. Krzyczał ze wszystkich sił swoich: „Je suis général du jour”; lecz to nic nie pomogło: otrzymał bagnetem w piersi raz głęboki, śmiertelny.

Cała wyprawa i kilkunastu minut nie trwała. Młodzież, naznaczywszy krwią podwoje carewicza, obróciła się z Belwederu w prawo i przez Ogród Botaniczny zmierzała szybkim krokiem do mostu Sobieskiego. Tu nastąpiło połączenie całego oddziału z podchorążymi, gdyż i druga część, nie mając nic do czynienia w Ogródzie, cofała się ku tej stronie, położwszy trupem jednego z warty ogrodowej, który biegł do pałacu z wiadomością o przybyciu niespodziewanych gości. Tylko co Nabelak i jego towarzysze zdążyli ująć paręset kroków od pałacu, gdy silny tętent koni na drodze z Łazienek do rogatek mokotowskich przekonał ich, jak szczęśliwie, jak cudownym prawie sposobem wielkiego uniknęli niebezpieczeństwa; albowiem wtenczas właśnie jedna część z rozbitych przez podchorążych kirysjerów przybyła galopem pod Belweder, otaczając pałac z przodu i z boku od Ogrodu Botanicznego. Jeszcze tedy kilka minut dłużej, a nikt nie byłby żywy wyszedł z oddziału, który wpadł od frontu.

Kiedy rewolucja w pierwszym poruszeniu swoim nawiedzała Belweder i brata potężnych carów Północy spłaszła z pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającymi siłami. Wysocki, jako się wyżej rzekło, wszedł do Szkoły, przerwał lekcję teorii, wykładaną jak zwykle o tej porze, i dobywając szpady zawołał donośnym głosem: „**Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!**” Rozległ się w sali okrzyk: „Do broni, do broni!” Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki, które Szlegiel przyniósł, nabili karabiny i daleko prędszej, niżeli bym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześciudziesiąt i kilku; każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało.

Teraz szli się odplacać Moskalowi za długą naukę na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej.

W roku 1828 w warszawskiej Szkole Podchorążych Piechoty zawiązało się **sprzysiężenie pod dowództwem podporucznika Piotra Wysockiego** przeciwko wodzowi naczelnemu wojsk Królestwa Polskiego i dowódcy sił rosyjskich stacjonujących w zachodnich guberniach Rosji, wielkiemu księciu Konstantemu, który był bratem cesarza Rosji i króla Polski Mikołaja I. **Bunt wybuchł nocą z 29 na 30 listopada 1830 r.** Sygnałem do insurekcji miał być pożar browaru na Solcu. Grupa 24 spiskowców, złożona głównie z młodych inteligentów (m.in. **Ludwik Nabelak, Seweryn Goszczyński**), opanowała Belweder – rezydencję wielkiego księcia. Jednakże **Konstanty zdołał się przed napastnikami ukryć**. Podobno zbiegł z pałacu przebrany w kobiece ubrania. **Powstańcy tylko dzięki pomocy 15 000 ludu warszawskiego zdobyli wówczas Arsenał**. Zamordowali sześciu przeciwnych powstaniu generałów i wysoko postawionych wojskowych. Następnego dnia, wraz z uzbrojoną ludnością cywilną, opanowali stolicę. W ten sposób spisek wojskowy przekształcił się w powstanie. Wielki książę Konstanty z częścią wiernych mu generałów i wojsk wycofał się z Warszawy do koszar na Wierzbnie, nie podejmując działań przeciwko powstańcom. (Wikipedia)

Zacząło się od zwycięstw...

gen. Józef Dwernicki (1779 – 1857)

Józef Dwernicki: ur. 19 marca 1779 r. w Warszawie, zm. 23 listopada 1857 r. w Łopatynie w Galicji, generał, dowódca kawalerii w powstaniu listopadowym. Pochodził z rodziny szlacheckiej. W 1791 roku ochotniczo wstąpił do artylerii polowej, uczył się w Szkole Rycerskiej. W 1806 r., kiedy wojska francuskie zbliżyły się do Wisły, Dwernicki wraz ze swoim przyjacielem Augustynem Trzecieskim zorganizował Towarzystwo Patriotyczne, mające na celu przygotowanie powstania przeciw Rosjanom. W nagrodę za zasługi położone w czasie wojny 1809 roku książe Józef Poniatowski, naczelny wódz Wojska Księstwa Warszawskiego, w 1810 r. odznaczył Dwernickiego Złotym Krzyżem Virtuti Militari.

Brał udział w wyprawie Napoleona na Moskwę, walczył u boku cesarza do końca. Po upadku Napoleona i utworzeniu Królestwa Kongresowego powrócił wraz z wojskiem do kraju. **Walczył w wojnie polsko-rosyjskiej 1830 i 1831 roku**. Dowodził w pierwszej zwycięskiej bitwie powstania - pod Stoczkiem. 27 kwietnia 1831 r. zdecydował się na przekroczenie granicy austriackiej. Po krótkim internowaniu wyjechał do Paryża. Do 1848 roku przebywał na emigracji. Po powrocie do kraju zamieszkał we Lwowie. Zmarł w 1857 r. w Łopatynie, majątku hr. Adama Zamojskiego i tam jest pochowany.

Raport dla księcia Radziwiła, Naczelnego Wodza, po bitwie pod Stoczkiem

(Bronisław Pawłowski: „Źródła do wojny polsko-rosyjskiej 1830-1831”, tom I, s. 327-332).

Pięciu kolumnami wkraczają carskie oddziały na teren Królestwa. Prądyński przedstawia plan kolejnego rzucania gros sił polskich na poszczególne korpusy. Z namowy Chłopickiego Radziwiła, który był nominalnym wodzem naczelnym, ten plan odrzuca. Oddziały polskie są pośpiesznie i bezładnie ściągane w okolice Warszawy. **Gen. Dwernicki** — zdolny dowódca kawalerii — otrzymał ograniczone zadanie obserwacji korpusu gen. Geismara. W trakcie działań wydzielonej grupy Dwernickiego doszło do **bitwy spotkaniowej pod Stoczkiem**. Losy bitwy rozstrzygnęły oddziały jazdy — krakusów, złożone z chłopów, które brawurą szarżą zdobyły 11 armat. Żołnierz pokazał swą bitność i odwagę, lecz dowództwo nie wyciągnęło z tej pierwszej bitwy żadnych wniosków co do dalszego prowadzenia wojny, dalej szukało ugody i porozumienia z carem.

Podajemy w nieznaczym skrócie raport gen. Dwernickiego, w którym zdaje on relację z działań swego korpusu oraz opisuje przebieg bitwy pod Stoczkiem. W raporcie podkreśla on patriotyzm i odwagę szarej masy żołnierskiej i przedstawia oficerów, podoficerów i żołnierzy do nagród i odznaczeń.

W dniu 7 lutego br. o godzinie jedenastej w nocy w Warszawie odebrałem rozkaz od W. Ks. Mości objęcia dowództwa nad korpusem oddzielnym mającym działać na prawym brzegu Wisły i zebrania onego w Mniszewie...

Stosownie do tego rozkazu, po zebraniu się całego korpusu miałem przejść Wisłę, działać przeciw generałowi Geismarowi i zasłaniać prawe skrzydło naszej armii. W dniu **dziewiątym lutego**, przybywszy do Mniszewa, zastałem tam tylko cztery dywizjony dywizji ułanów, z Kozienic i Góry przybyłe. **Dnia dziesiątego rano** odebrałem przez sztafetę rozkaz od generała dywizji Klickiego, dany mi w imieniu naczelnego wodza, do przejścia natychmiast Wisły z tem, co się już zebrało, i rozpoczęcia kampanii. Przekonawszy się osobiście, że lód jeszcze był mocny, tegoż dnia z rzezonymi czterema dywizjonami przeszedłem Wisłę i zająłem stanowiska we wsiach: Piwoninie, Leśnikach, Ostroborze, Kilejewie, Wilkowie, Podolu i Olszaku. Wszystkie oddziały wysłały małe patrole naprzód, lecz żadnej wiadomości o nieprzyjacielu nie powzięły. W czasie przeprawy przez Wisłę, tego dnia złączył się ze mną oddział pułku krakusów pułkownika Szymańskiego, lecz tylko ze 130 ludzi złożony.

Dnia 11 lutego posunąłem się naprzód i zająłem Łaskarzew, Dąbrowę, Izdebnę, Rowy, Rębków i Garwolin. W tym dniu przeszły Wisłę: czwarty batalion piątego pułku piechoty i dywizjon pułku trzeciego strzelców konnych. Przez raporta wysłanych patrolów, jako też przez szpiegów, dowiedziałem się, że w Łukowie stoi kilkutysięczny korpus generała Geismara i że patrole jego dochodzą do Żerocina i do Tuchowicza... Mając potwierdzone wiadomości o obozowaniu nieprzyjaciela pod Łukowem i pod wsią Różą, przedsięwziąłem podejść ubocznymi drogami i na te obozy uderzyć. **Dnia trzynastego**, jak najraniej, zebrałem cały korpus pod Żelechowem i poszedłem na lewo lasami do wsi Filipówki, skąd przez Stoczek mogłem ukrycie podejść do Róży, a rozbiwszy tam nieprzyjaciela, wpaść z niespodziewanej strony na Łuków. Lecz tego dnia wysłany patrol z Miastkowa napotkał Kozaków we wsi Toczyskach i przez nierozsądek podoficera, który się wdał w utarczkę, jeden żołnierz został wzięty i to odkryło mój marsz nieprzyjacielowi i podejście go niespodziewanie niepodobnym zrobiło. O godzinie dziesiątej w nocy dowiedziałem się, że awangarda pod osobistym dowództwem generała Geismara przyszła do Żerocina i **o godzinie drugiej po północy** ruszyłem przeciw niemu, a że w zbyt ciemnej nocy niepodobieństwo było przejść małymi drożynami z artylerią wprost do Żerocina, więc musiałem obchodzić na Stoczek.

Dnia czternastego, jak tylko dzień się zrobił, awangarda moja pod komendą podpułkownika pierwszego pułku strzelców konnych, Chmielewskiego, spotkawszy we wsi Prawdzie placówkę z dwudziestu kilku dragonów i Kozaków złożoną, zabrała całą i tylko jeden oficer, który stał we dworze wymknął się. Od tych jeńców dowiedziałem się, iż generał Geismar ma z sobą w Żerocinie wyborowe dwa pułki dragonów, dwa strzelców konnych, dwa Kozaków i dwie baterie artylerii konnej i że w Stoczku kilkaset koni z tej kolumny stoi.

Poszedłem spieszniej **do Stoczka**, lecz już nikogo tam nie zastałem, bo wszystko jak najspieszniej zemknęło do Żerocina. Przeszedłszy przez Stoczek, zatrzymałem się na dolinie przy drodze do Żerocina dla małego spoczynku i nakarmienia koni, lecz w moment po zatrzymaniu się przylecieli naprzód wieśniacy z ostrzeżeniem, iż kolumna kawalerii ciągnie z lasu od Toczysk, którą też i wedety [przypis: placówki, konne oddziały wysłane do obserwowania ruchów nieprzyjaciela] wystawione na wzgórzach spostrzegły. Wyszędłszy na górę dała nam się widzieć druga takąż kolumna na lewo od nas, z lasu przy drodze od Żerocina wychodząca, i na wyniosłym wzgórzku stanęła w odległości strzału armatniego. Każda z tych kolumn miała po dwa pułki jazdy i po jednej baterii artylerii konnej; było to o godzinie 9 rano. Artylerię moją postawiłem na takiej pozycji, iż do obydwóch kolumn strzelać mogła. Obok niej na prawo stanął batalion pułku pierwszego piechoty, a piątego i szóstego pod górą na lewo — wszystkie w czworobok. Pozycję, którą zająłem, przedzielała od kolumny nieprzyjacielskiej, tej co się pokazała od Żerocina, wielka pochyłość między dwiema górami...

Zacząłem rozwijać dywizjony. W samym rozwijaniu się dywizjonów bateria kolumny od Żerocina ogień rozpoczęła i pierwszy wystrzał zabił nam jednego kanoniera, a inne między rozwijające się dywizjony padały, lecz to żadnego pomieszenia w ruchu nie zrobiło. Zamiarem nieprzyjaciela było zapewne albo zmusić mnie ogniem armatnim z dwóch stron miotany (bo i bateria drugiej kolumny strzelać zaczęła) do cofnięcia się za Stoczek, albo też mniemał, że na jedną z kolumn uderzę całą siłą, a wtenczas druga wpadnie mi w tył i tym sposobem we dwa ognie mnie weźmie. Lecz mylne było to wyrachowanie, bo zaraz po rozwinięciu się dywizjonów, kazałem pierwszemu, drugiemu i trzeciemu ułanów posunąć się spiesznie ku kolumnie od Żerocina. Dywizjon pierwszego i szwadron drugiego oraz trzeciego ułanów poszły klusem ku lasowi na lewe skrzydło kolumny nieprzyjacielskiej, a będąc na jej przedłużeniu, odmieniły front na lewo, po czym posunawszy się galopem ku kolumnie, przyjęte były ogniem kartaczowym i szarżą pułku dragonów, co stał na lewym skrzydle baterii. Dywizjon pułku pierwszego, mając na czele majora Rusjana i kapitana Lisieckiego, pełnych odwagi i męstwa, na tę kawalerię, a znany w wojsku z waleczności kapitan pułku drugiego ułanów, Lewiński, ze swoim szwadronem na artylerię tak natarczywie, gwałtownie i z szybkością błyskawicy uderzyli, iż w mgnieniu oka i bateria, i kawalerii asekurującej obydwie pułki przewrócone, rozbite i do haniebnej ucieczki zmuszone zostały, mając w tyle grobelkę, przez którą uciekać musiały, **więc to posłużyło naszym do zabrania pięciu armat, przeszło stu niewolnika i położenia trupem najmniej dwustu.**

Dywizjon pułku trzeciego ułanów, dowodzony przez majora Wierzchleyskiego i kapitana Sadowskiego, wsparł mężnie szarżę pierwszego i drugiego. Gdy się to działo, kolumna od Toczysk mocniej strzelać zaczęła na naszą artylerię i na czworobok batalionu pułku pierwszego piechoty, w którym podlekarza i dziesięciu ludzi ubito, lecz batalion stał nieporuszenie i okrzykami radości głużył huk dział nieprzyjacielskich, śpiewając za przykładem walecznego dowódcy, podpułkownika Rychłowskiego. „Jeszcze Polska nie zginęła”. Widząc, że ta kolumna żadnego ku nam ruchu robić

nie zamyśla, kazałem dywizjonowi pułku drugiego strzelców konnych, na lewo stojącemu, aby z frontu atak przypuścił, gdy inne oddziały z boku na kolumnę uderzą; na czele tego dywizjonu byli kapitanowie Trojanowski i Ziółkowski. Dywizjon pułku trzeciego strzelców konnych, będący w asekuracji armat, posunąłem naprzód, rozkazawszy, aby także do ataku na tę kolumnę należał. Potem wzięwszy dywizjon pułku pierwszego strzelców konnych, dowodzony przez podpułkownika Chmielewskiego i kapitanów Potockiego i Kożuchowskiego, oraz dywizjon pułku czwartego, prowadzony przez majora Kosakowskiego i kapitanów Rutkowskiego i Wydżgę, na lewy bok kolumny uderzyłem.

Pierwszy dywizjon strzelców konnych natarł na pułk na lewym skrzydle baterii stojący, którego usunął się w tył dla odsłonięcia baterii kartaczowego ognia, który na nas sypać zaczęła. Czwarty ułanów rzucił się na tę baterię wraz z drugim strzelców konnych, którego najdokładniej i w czas rozkaz mój wypełnił, trzeci strzelców konnych, prowadzony przez pułkownika Suchorzewskiego i kapitanów Wójcickiego i Stangenberga, też samo dopełnił. Los tej kolumny nie był rozdzielony od losu tej, co nadeszła od Żerocina — w przeciągu kilku minut zupełnie porażoną i rozbitą została. Sześć dział na tymże miejscu, gdzie stały, dostały się w nasze ręce, zabrał je pułk czwarty ułanów wspólnie z pułkiem drugim strzelców konnych. Kawaleria, ścigana z największą natarczywością przez naszych, w zupełnym nieładzie uciekała do lasu ku Żerocinowi, mnóstwo ludzi zabitych i zabranych w tej ucieczce straciwszy, w lesie już dwa szwadrony, obskoczzone naokoło, co do nogi prawie wyginęły. Skutkiem tej bitwy było **zabranie nieprzyjacielowi jedenastu dział** z całym zaprzęgiem i amunicją, z których pięć zdalnych do użycia, a sześć demontowanych lub z połamanymi kolbami i osiami, **dwustu trzydziestu niewolnika**, między którymi dwóch kapitanów, jeden porucznik i dwóch junkrów. **Zabitych utracił nieprzyjaciel najmniej 400**, między którymi dwóch sztabsoficera i pułkownika od artylerii i kilkunastu niższych oficerów. My w zabitych straciliśmy czterdziestu sześciu ludzi, między którymi kilku podoficerów, rannych mamy 54 żołnierzy i podoficerów i 3 oficerów...

Szwadron krakusów pułkownika Szymańskiego miał czynny bardzo udział w całej tej bitwie i równie ze wszystkimi walecznymi dał dowody męskości i poświęcenia życia na obronę kraju. **Artyleria nasza przez porucznika Puzynę dowodzona**, oficera dystyngowanego w kampanii 1812 roku, który z podporucznikami Korzeniowskim i Lipskim w trzech dniach i to w marszu tak ją urządzili, iż najskuteczniej w tej bitwie działała, **przechodzi wszystko, co by na jej pochwałę powiedzieć można**. Oprócz kilku podoficerów, znających naukę artylerii, kanonierzy są to albo kanoniści, od kilkunastu dni użyci, albo ochotnicy z Warszawy, którzy dopiero w dniach dziesiątych, gdy działa wychodziły, zaciągnęli się do tej broni. Ogień był nadzwyczajnie szybki i tak skuteczny, iż kilka dział nieprzyjacielskich demontował. Zimnej krwi na ogień armatni, zapалу prawie nadludzkiego i z niczem nieporównanej odwagi tak dawnych żołnierzy, jako też nowozacieżnej młodzieży, ani opisać, ani wyobrazić sobie dokładnie nie podobna. **Oficerowie wszyscy z bezprzykładnym męstwem szeregi swe prowadzili**, a lubo nie mogę znaleźć żadnej różnicy między walecznymi, bo wszyscy z równą gorliwością sławę oręża naszego utrzymali, widzę jednak być moim obowiązkiem imiona już wspomnianych umieścić.

Z artylerii: podoficerowie — **Rudnicki i Grotkowski**; kanonierzy-ochotnicy — **Szwarc, Krempowiecki, Maciejowski, Dębiński, Radziszewski i Ostrzykowski**.

Z pułku pierwszego strzelców konnych: podporucznicy — **Rzewuski, Sobański, Uniżycki, Sokolowski, Dębowski Krzycki, Litwicki, Oborski, Kisielnicki, Laskowski, Czartkowski**; podoficerowie — **Kornacki, Chrzanowski, Szymkowski, Włodarski** i żołnierze — **Kaczyński, Wągradzki, Przeździecki, Robak, Szatkowski**.

Z pułku drugiego strzelców konnych: podporucznicy — **Tymieniecki, Jackowski, Michałowski, Godecki, Jadłowski, Łoniewski, Manżet, Wysocki**; podoficerowie — **Stempkowski, Cieśliński, Włóczko, Polichnowski, Werner, Trojanowski, Jakubowski, Miłasiewicz** i żołnierze — **Milewski, Kiliński, Jędralski, Sokolowski, Oczko, Szpinek, Sarnowski, Kamiński, Zwalacz, Kołysantys, Sobolewski, Rutkowski, Dmuchowski...** (dalej mamy wyliczenie najwaleczniejszych żołnierzy i podoficerów z jednostek, które brały udział w bitwie — uw. wyd.).

Załączając listę oficerów, podoficerów i żołnierzy do nagród, do których niezaprzeczonego nabyli prawa, mam honor takowych względem naczelnego wodza polecić.

„przed wojną tak pisano historię, by dało się ją czytać” (T. Zbrzezny)

Artur Śliwiński (1877 – 1953)

Historyk, publicysta, polityk, premier II RP w 1922 roku, senator IV kadencji w latach 1935–1938. Ur. 17 sierpnia 1877 r. w Ruzskach koło Kutna, zm. 16 stycznia 1953 r. w Warszawie. Przed 1914 r. należał do Polskiej Partii Socjalistycznej. W latach 1919 -1922 był wiceprezydentem Warszawy. **28 czerwca 1922 roku został powołany na urząd premiera RP.** Podał się do dymisji 7 lipca 1922 r. W 1924 r. został dyrektorem naczelnym Teatrów Miejskich w Warszawie, a w latach 1932–1939 był dyrektorem Polskiego Banku Komunalnego. W latach 30. powrócił do polityki, tym razem pełnił **mandat senatora** (1935–1938). Po wybuchu II wojny światowej należał do Komitetu Obywatelskiego w Warszawie. Po wojnie pozostał na emigracji.

Jest autorem licznych prac popularnonaukowych z historii Polski, m.in.: *Powstanie listopadowe* (1911), *Powstanie styczniowe* (1918), *Stefan Batory* (1922).

Bitwa pod Grochowem 25 lutego 1831 roku

Z książki Artura Śliwińskiego pt. „Powstanie listopadowe”.

Wojsko polskie, rozłożone na polach Wielkiego i Małego Grochowa, zajmowało obszerną, pełną moczarów i bagnisk równinę, otoczoną z jednej strony Wisłą i jej łachami, z drugiej strony lasem. Prawe skrzydło opierało się o bagna, utrudniające dostęp do Wisły, lewe przechodziło poza **lasek olszowy, znajdujący się pomiędzy Grochowem a Kawenczynem.** Przez lasek szła droga bita, prowadząca na błonia przed Pragę.

Ów **historyczny lasek, który zasłynął później pod nazwą Olszynki,** był pozycją czołową w rozłożeniu wojsk polskich, wysuniętą jak bastyon ku prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Chcąc dostać się na równinę przed Pragę, trzeba było naprzód zdobyć Olszynkę. Ominąć jej Rosyane nie mogli, gdyż, mijając, naraziliby się na ogień z boku, a posunąwszy się dalej, mogliby oczekiwać ataku i na tyły wojsk swoich. W takich warunkach łatwo było przewidzieć, że Olszynka stanie się miejscem walki najkrwawszej.

Zatapiał w nią wzrok swój **Dybicz,** jak gdyby chciał przeniknąć ukryte w niej siły, badał ją przebudzony z letargu **Chłopicki** i do upadłego postanawiał się bronić. W spokoju i ciszy upłynęło dni kilka. Dybicz nie decydował się na rozpoczęcie nowej batalii, a Chłopicki czuwał, jak lew, gotów każdej chwili ukazać swe straszne kły. Czy to bliskość armii nieprzyjacielskiej wpłynęła na starego generała, czy przemówił w nim głos obowiązku, czy nadzieja zwycięstwa i wiekopomnej sławy uśmiechnęła się Chłopickiemu, dość, że zmienił się do niepoznania, stał się naraz czynnym, czujnym, baczny na wszystko.

Codziennie na parę godzin przed wschodem słońca wyjeżdżał w otoczeniu swego sztabu poza przednie straże, wlepił oczy w gęsty mrok nocy i badał, czy w pozycjach armii nieprzyjacielskiej nie zaszły jakie zmiany, na które natychmiast trzeba by odpowiedzieć. Wojsku rozkazał na godzinę przed świtem występować w rynsztunku bojowym, bo ataku do dnia można się było spodziewać, a doświadczony wódz na wszystko chciał być przygotowany. Ale armia nieprzyjacielska stała nieruchomo - i dzień za dniem płynął w nużącym oczekiwaniu. Więc Chłopicki czekał. Czekał groźny i pewny siebie, w postawie śmiałej i wyzywającej. Wojsko odczuło Chłopickiego i z radością patrzyło na jego czynności. Gdy w swoim szarym cywilnym płaszczu zjawiał się przed frontem, żołnierze witali go okrzykami zapału. Z postawy starego generała biła pewność siebie i jakaś nadzwyczajna moc, która udzielała się żołnierzom, przenikała ich na wskroś, rozpaliała w piersiach płomienie bohaterstwa i entuzjazmu.

Wojsko rwało się do boju i w takim stanie zastał je **dzień 25 lutego.** Armia polska, zajmująca pola grochowskie, liczyła 38 000 ludzi i 82 działa. Na lewo od tych sił stał generał

Krukowiecki z dwunastotysięcznym korpusem. Rosyanie byli znacznie liczniejsi. Sam Dybicz, stojący naprzeciw pól grochowskich, miał 58 000 żołnierza i 196 armat, a na jego wsparcie śpieszył książę Szachowski, wiodący z górą 12 000 ludzi i 56 armat...

O dziewiątej z rana odezwały się armaty rosyjskie i natychmiast odpowiedziała im artyleria polska. Na odgłos wystrzałów Chłopicki dosiadł konia i popędził na linię bojową, a naczelny wódz Radziwiłł zajął wyznaczone mu miejsce w środku równin Pragi. Od zdobycia Olszynki postanowił Dybicz rozpocząć walkę i atak nań powierzył Rosenowi.

Rosyanie śmiało ruszyli naprzód i z okrzykiem: hurra! wtargnęli do Olszynki. Rzęsistym i celnym ogniem przywitani ich najpierw tyralierzy, a później natarła na nich piechota i bagnetem z lasku wyparła. Rosyanie nie dają za wygraną i raz za razem ponawiają atak. Wyrzuceni trzykrotnie, formują się po raz czwarty i, wzmocnieni nowymi siłami, znowu ruszają do ataku.

Widzi to Chłopicki i poleca generałowi Żymirskiemu wesprzeć Rolanda i bronić Olszynki do upadłego. Chcąc podkreślić ważność tej obrony, zapowiada Żymirskiemu przez adjutanta, że wolno mu zginać, ale nie wolno opuścić pozycji.

Otrzymawszy ten rozkaz, Żymirski, jak burza, wpada do lasku, łamie szeregi nieprzyjacielskie, wypiera je na całej linii i staje mocno jak mur, gotów na nowe natarcia. Niedługo na nie czeka, bo sam Dybicz śledzi zażarłą walkę i rozkazuje Rosenowi ponowić ataki. Wojska rosyjskie formują się w otwartym polu i znowu idą na Olszynkę. Zahuczało w lasku od strzałów, krzyków i jęków, zawrzała nowa walka, ale niedługo trwała, bo Rosyanie, nie mogąc wytrzymać natarczywości obrońców, cofnęli się w nieładzie. Miota się na ten widok Dybicz i nakazuje nowe potężniejsze uderzenie.

Rusza do boju dywizja Pahlena i brygada karabinierów, kilkadziesiąt dział artylerii konnej rozpoczyna ogień morderczy i wojska rosyjskie, uszykowane w półkole, a prowadzone przez najmężniejszych w armii generałów, Tolla i Neuhardta, idą pomścić doznane porażki i wydrzeć Polakom Olszynkę.

Żymirski patrzy nieulekłym wzrokiem na zbliżającą się nawałnicę, pod gradem kul przebiega przeredzone szeregi i wzywa je do zaciętej obrony, gdy wtem kula armatnia urywa mu ramię i śmiertelnie ranionego ciska o ziemię. Żymirskiego unoszą z pola, a żołnierze, wyczerpani walką, pozbawieni komendy, nie mogą oprzeć się ogarniającej ich burzy i opuszczają pełną trupów Olszynkę. Widzi to Chłopicki, zrywa się do skoku, bo teraz kolej na ataki wojsk polskich. **Skrzynecki** otrzymuje rozkaz odebrania lewej strony lasku, a prawą mają zdobyć grenadyerzy.

Ale **za mało sił ma Chłopicki**, by walczyć z całą armią Dybicza, więc rozkaz za rozkazem śle do Krukowieckiego i rozkazuje mu ruszać na plac boju, jednocześnie zaś wzywa Łubieńskiego, by z całą jazdą pośpieszył pod Olszynkę. Ale Łubieński odpowiada, że naczelnym wodzem jest Radziwiłł i że od niego tylko pojmie rozkazy, a Krukowiecki ani myśli przerwać odpoczynku. Chłopicki posyła nowych adjutantów, po czym zbliża się do grenadjerów, by rzucić ich w ogień. Od postaci Chłopickiego biła pewność siebie, twarz zdradzała straszną zawziętość, lecz była spokojna, nieruchoma, jakby wykuta z marmuru, tylko z oczu szły błyskawice i przebiegały sformowane już do ataku kolumny.

Na widok wspaniałej i pewnej siebie postawy generała zapał ogarnął grenadyerów.

— Niech żyje Chłopicki! Niech żyje dyktator! — poczęto wołać dokoła i jakiś nowy duch i nowe męstwo wstąpiło w serca. A Chłopicki stanął na czele jednego batalionu, dwa inne powierzył **Prądyńskiemu** i Milbergowi, po czym szpicrutą wskazał Olszynkę i krzyknął grzmiącym głosem: „Tam, tam!”

Jak lwy ruszają grenadyerzy we wskazanym kierunku. Z piersi ich dobywa się pieśń legionów i grzmi tak głośno, że nie głośzy jej ryk armat, ani odgłos bębnow. Miarowym krokiem zbliżają się do lasku, wkraczają na pole walki groźni i straszni, dyszący żądzą boju i zwycięstwa. A gdy wchodzili do lasku, naraz jakby na umówiony sygnał, dziewięćdziesiąt armat z obu stron zagrzmiało. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała

od walących się na nią kul i kartaczy, a od kłębow dymu niebo pociemniało. Zastąpiły grenadyerom drogę kolumny nieprzyjacielskie, ale, przełamane w jednej chwili, ustąpiły z pola. Lecz oto nowe siły gromadzą dowódcy rosyjscy i wzmagają się walka zażarta, a choć z obu stron gęsto trup pada, grenadyerzy wciąż posuwają się naprzód. Chłopicki, widzialny, jak sztandar, dla obu wojsk walczących, pierwszy idzie w odmet śmierci i porywa za sobą szeregi. Płaszcz Chłopickiego poszarpały kule, dwa konie pod nim ubito, ale stary generał nie zważa na nic i niczem niewzruszony, do nowych czynów wzywa swoich żołnierzy i, krok za krokiem oczyszczając Olszynkę, wymiata z niej nieprzyjaciela.

W tymże samym czasie wre walka zacięta i w drugiej połowie lasku. **Generał Skrzynecki** na czele ósmego pułku piechoty, a **generał Bogusławski** na czele sławnych **czwartaków** również posuwali się naprzód. Bogusławski, lubiony dla swego męstwa, strofował żołnierzy: „Mierz z wolna, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb! Chciałeś rewolucyi, to nie chybiaj, psia krew, bo bieda będzie”.

Jakoż widać w szeregach nieprzyjacielskich zamieszanie. Czwartacy wiernie wypełniają rozkaz: już generała brygady i szefów batalionów unoszą z pola, Rosyanie chwieją się coraz bardziej.

— Na bagnety! — komenderuje Skrzynecki.

— Na bagnety! — woła Bogusławski i dwa pułki polskie, najeżywszy się stalowymi ostrzami, wpadają na nieprzyjaciół, łamią ich i, pędząc przed sobą, wychodzą poza Olszynkę. W tejże samej chwili ukazują się i grenadyerzy, prowadzeni przez Chłopickiego. Dzięki tym wysiłkom laszek olszowy został opanowany przez wojska polskie.

Chłopicki ani myśli poprzestać na tem i z pozycji obronnej postanawia przejść do ataku. Posuwa się więc dalej, w nadziei, że lada chwila przybędzie Krukowiecki i poprze te wysiłki. Żołnierze odczuli ważność momentu i doniosłość osiągniętego zwycięstwa. Tryumfalne okrzyki przeszyły powietrze, upojonych żołnierzy ogarnął nieopisany zapach. Szeregi pomknęły naprzód, jak rozhukana fala, gotowa zmieść wszelkie przeszkody, stratować wszystko, coby jej śmiało stanąć na drodze.

Wówczas Prądyński, rozpromieniony tryumfem, wysuwa się przed grenadyerów i, szpadą wskazując baterię rosyjską, woła: „Żołnierze, bracia, jeszcze jeden wysiłek, a te oto działa są nasze!...”.

Suną grenadyerzy na armaty, rąbią kanonierów, co nie zdążyli się usunąć, zdobywają baterię, i dwa działa zioną niebawem ogniem na wzgórze, skąd Dybicz śledził przebieg walki. Postęp taki nowy gniew zapalił w wodzu rosyjskim. Na czele swego sztabu Dybicz wpada pomiędzy pierzchające kolumny, gromi je, każe formować na nowo, poczem wprowadza do walki nienaruszone rezerwy i olbrzymią masą posuwa się ku zwycięzcom, zachodząc im drogę z frontu i z lewej strony.

— Nie jestże to hańbą, że nie możemy zdobyć tego lasku! — woła Dybicz do oficerów, i przeciw trzem pułkom polskim wystawia resztę korpusu Rosena, drugą brygadę grenadyerów, na której w krytycznych chwilach poległ najbardziej, pułki meklemburski, jekaterynosławski, ingiermanlandzki, piąty pułk jęgrów, pułk karabinierów, a za tą masą piechoty rozkazuje posuwać się jeździe, poczem wysuwa się na czoło i, szpadą wskazując kierunek, rzuca swe wojska na garstkę obrońców Olszynki.

Polacy mężnie witają nawałnicę, ale gdy nikt im z pomocą nie przybywa, zmuszeni są cofnąć się do lasku. Nieszczęsna Olszynka znowu zapełnia się ludźmi i walka nierówna trwa całą godzinę. Wreszcie Rosyanie zdobywają laszek i wypierają z niego Polaków.

Ale Chłopicki nie daje za wygraną. Wśród ryku armat i kurzawy bojowej stary lew odzyskuje całą swą energię i postanawia polec lub zwyciężyć. Jeden groźny zamach siłami polskimi ma zadecydować o zwycięstwie. Adjutanci wodza biegną do dywizji Żymirskiego i Szembeka, by wprowadzić je w ogień, a Chłopicki, wściekły, że Krukowieckiego nie widać, że Łubieński nie pośpiesza z jazdą, wycofuje się na chwilę z ognia i pędzi ku miejscu, gdzie stoi ze swym sztabem i cywilnymi dygnitarzami nie mieszający się do bitwy naczelny wódz Radziwiłł.

Chłopicki żąda od niego powtórzenia swoich rozkazów, co wódz naczelny niezwłocznie czyni. Otoczenie Radziwiłła pyta go o przebieg bitwy.

— Do widzenia waszmościom! — odpowiada Chłopicki — jadę teraz zdobywać armaty.

I ufny w zwycięstwo, spina ostrogami konia, powraca w odmet bitwy i, jak zwiastun zwycięstwa, zjawia się wśród szeregów. Wtem konia, na którym siedzi, uderza granat i pęka z trzaskiem. Koń i jeździec giną na chwilę w kłębach dymu, poczem oczom patrzących okropny ukazuje się widok: pod rozerwanym koniem leży zbryzgany krwią Chłopicki.

Okrzyk przerażenia dobywa się z piersi żołnierzy. Dopadają do generała, dobywają go spod konia, a widząc, że ciężko raniony, robią naprędce nosze z kos kilku, składają go na nich i unoszą z pola. Ale Chłopicki, acz cierpi strasznie, pała jeszcze ogniem zwycięstwa. Prądyńskiemu, który go pyta, kto ma bitwą dowodzić, odpowiada:

— **Skrzynecki**. Powiedz mu, ażeby całymi siłami uderzył na Olszynę i wydarł ją koniecznie nieprzyjacielowi.

Wiść o ciężkich ranach generała roznosi się szybko, przygnębia umysły - i oto **wraz z Chłopickim znika z pola walki duch zwycięstwa**. Bitwa rozprzęga się w jednej chwili. Pozostali na placu generałowie nie o zwycięstwie, lecz o własnym ocaleniu zaczynają rozmyślać. Skrzynecki, znużony walką, nie spełnia danego polecenia, Szembek, zaatakowany przez brygadę strzelców konnych, dwa pułki huzarów i pułk ułanów, cofa się w nieładzie, za jego przykładem idzie reszta wojsk polskich.

A wódz naczelny, Radziwiłł, widząc, co się dzieje, szepcze bezradnie pacierze.

Popłoch wkrada się w szeregi. Jeden Skrzynecki, acz cofa się wraz z innymi, utrzymuje doskonały porządek, broni się mężnie i zasłania odwrót.

Dybicz usiłuje wyzyskać to zamieszanie i, chcąc przeciąć armii polskiej odwrót na Pragę, formuje swą jazdę. Pułk kirasyerów księcia Alberta podejmuje się wskazać konnicy rosyjskiej drogę i zapuszcza się w pełnym galopie pomiędzy wojska polskie, podbiega aż pod samą Pragę i wśród widzów, obserwujących walkę, wzbudza przerażenie.

Dostrzegłszy wojska rosyjskie, rzucili się oni do ucieczki i wpadli na Pragę z wiadomością o porażce wojsk polskich. **Straszna wieść szybko rozniosła się po stolicy**.

— Już Praga zdobyta! już nieprzyjaciel na moście! — poczęto wołać na ulicach Warszawy, i popłoch ogarnął bezbronnych mieszkańców. Okrutna rzeź Pragi, żyjąca we wspomnieniu, wszystkim stanęła przed oczyma.

Ale tak źle nie było. Kirasyerzy, zapędziwszy się za daleko, z tym samym pośpiechem wracali do swoich. Szarżowani przez ułanów pod pułkownikiem Kickim i rażeni ogniem piechoty, zostali prawie wszyscy na placu lub poszli do niewoli. Tylko pojedynczym jeźdźcom udało się połączyć z główną armią rosyjską.

Tymczasem zbliżał się wieczór i mrok sphywał na krwawe pobojowisko. Kanonada stawała się coraz rzadszą, aż zamilkła zupełnie. Polacy cofali się przez most na Pradze do Warszawy, Rosyanie zajęli pole bitwy, ale wstrzymani mężnym oporem, nie odważyli się na przypuszczenie szturm do Pragi.

Wkrótce na całym polu bitwy głęboka zapanowała cisza, i wojska rosyjskie słyszały doskonale turkot cofającej się po moście artylerii, pociągów i ambulansów. Do późna w noc skutecznił się odwrót wojsk polskich. Generał Małachowski pozostał ze swoją brygadą na Pradze, by w razie ataku bronić szańca przedmostowego, a cała armia znalazła się nad ranem w murach Warszawy.

W tej krwawej bitwie Polacy stracili z górą 7000 ludzi, a Rosyanie sami obliczali swe straty na 9400 ludzi.

Całą noc Warszawa oczekiwała szturm, ale noc przeszła spokojnie.

Wstał nowy dzień, i znowu w stolicy spodziewano się szturm, ale wojska Dybicza, czerniejące na równinach przed Pragę, niby zastygła lawina, spoczywały milcząco i nieruchomo.

Te Deum mieszkańców Warszawy po zwycięstwie pod Wawrem...

Aleksander Kraushar (1843 – 1931)

Adwokat, historyk, publicysta, poeta, działacz kulturalno-oświatowy pochodzenia żydowskiego. Badacz historii Polski początku XIX w. Ur. się i zm. w Warszawie.

Życie Warszawy w czasach listopadowych

Z książki Aleksandra Kraushara pod takim samym tytułem.

Ostatni dzień marca 1831 roku zaznaczył się w dziejach powstania listopadowego **wielkim zwycięstwem, odniesionem przez wojsko polskie pod wodzą Skrzyneckiego na polach Wawra i pod Dębem Wielkim**. Przypomniano sobie w Warszawie, że przed 37-miu laty, za Kościuszki, dzień wielkoczwartkowy również stał się pamiętnym przez ogłoszenie hasła wyzwolenia. Wiadomość o porażeniu zastępów generałów Geismara i Rosena, o zdobyciu sztandarów, armat i wzięciu mnóstwa jeńców, rozeszła się po stolicy późną porą dnia 31 marca, a już na „Prima aprilis”, w dniu, nacechowanym w tradycji ludu niespodziankami i wieściami mylnymi, gazety pod hasłem: „Niech żyje Ojczyzna!” — rozniosły wieści, tym razem wiarogodne, o odniesionym tryumfie orężnym.

Jakoż niebawem stwierdził je widok przywiezionych przez adjutanta, kapitana Leskiego, sztandarów zdobycznych, oraz pochodem przez ulice miasta siedmiu tysięcy niewolnika, między którymi był jeden generał, czterech sztabowych i 60 niższych oficerów, a przy tem osiem armat z liczby dwudziestu kilku wielkiego kalibru, pozostawionych czasowo na polach bitew. Sztandary zdobyczne zawieszono na ratuszu, armaty ustawiono przed pałacem Prymasowskim, krzesło, zdobyte w namiocie wodza nieprzyjacielskiego, przeznaczono dla marszałka sejmu, broń zdobytą oddano formującym się szeregom.

Szły nieprzerwanie przez miasto zdobyczne efekty: wozy, apteki, kaplice ruchome, piękne ekwipaże wyższych oficerów. Między jeńcami widziano duchownych pułkowych, lekarzy, całą orkiestrę pułkową... „*Będąc dwadzieścia godzin na koniu — pisał Skrzynecki do Rządu z Dębego Wielkiego o godzinie 10-ej wieczorem — nie jestem w stanie dać dokładnego raportu. Proszę tylko Rząd Narodowy, aby raczył nakazać nabożeństwo, że Bóg pobłogosławił orężowi naszemu*”. Jakoż, po wysłaniu Skrzyneckiemu wielkiego krzyża komandorskiego w nagrodę zwycięstwa, Rząd Narodowy nakazał na Wielką Sobotę uroczyste nabożeństwo w katedrze Świętojańskiej, na którem była obecna prawie cała inteligencja warszawska, oraz nieprzejrzone, radością i zachwytem przejęte tłumy ludu miejskiego. Zgromadzili się na zamku senatorowie, posłowie, generał-gubernator Warszawy, prezydent miasta, Rada municypalna, wszyscy dygnitarze cywilni i wojskowi w mundurach, razem z naczelnym wodzem i członkami zarządu.

Z zamku cały korowód udał się do katedry, gdzie w dwóch rzędach stały wojska: gwardya narodowa w środku, piechota liniowa po stronie lewej, starszyzna jazdy po prawej. Przy „Podniesieniu” wojska na kolanach prezentowały broń. Celebrował biskup Prażmowski. Prowadzili go podczas procesji: były wódz naczelny — książę Radziwiłł i marszałek poselski — Wł. Ostrowski. Baldachim nieśli senatorowie. Na dany sygnał armaty dały 101 wystrzałów. Po odśpiewaniu *Te Deum* i po 50 wystrzałach z dział zamkowych, w tym samym porządku odbył się powrót korowodu do zamku. W czasie nabożeństwa legia litewsko-wołyńska przyłączyła się do gwardyi narodowej, na znak wiekuiestej unii między Koroną a Litwą. Ksiądz kanonik Wierzbowski pięknie i patryotyczne miał kazanie. Zdobyte chorągwie zdobyły ołtarz Pański. „Już dawno — pisał „Kuryer Polski” — starożytne mury katedry nie brzmiały pieniemi tryumfów; nasi młodszy rycerze przypomnieli sławę Batorych, Władysławów, Kazimierzów, Sobieskich, a osierocona i umilkła kazalnica znalazła nowych Skargów i Woroniczów”. Takież uroczyste nabożeństwo odprawiono jednocześnie na Pradze, gdzie ołtarz przybrano kosami chłopskimi.

Mieszczanie zarządzili w szopie Teatru Narodowego ogólną składkę na „święcone” dla zwycięskiego wojska. Dzieci, starcy i kobiety pośpieszyli z darami, które wyprawiono furami. Jeńców ustawiono na placu Saskim i rozkazano im złożyć na kupę własność skarbową. Oddali jedynie tornistry, resztę zatrzymali przy sobie, jako swoją własność prywatną. Jako dowód panującego wówczas w mieście entuzjazmu i zapału bojowego, może

posłużyć list otwarty mecenasa Kraińskiego do feldmarszałka Dybicza wystosowany, wzywający owego wodza do rychłego uderzenia na Warszawę, „która już jest zniecierpliwiona tak długim z bronią w ręku oczekiwaniem”.

Z powodu zwycięstw dano w Teatrze Narodowym bezpłatne przedstawienie i oświetlono rzeźnię domy w stolicy. Rozradowane odświętne tłumy roily się po ulicach. Spotykano Krakusów z korpusu Umińskiego, w ręku trzymali proporzec narodowy, na głowie czapka krakowska, a na piersiach mieli krzyże wojskowe polskie. Notują dzienniki z owych dni rozrzewniające fakty o ludzkim traktowaniu jeńców: rannym ustępowano miejsca na wozach, mieszkańcy Warszawy, przekupki, lud pospolity ubiegali się z daniem im żywności i wszelkiego wsparcia.

Dusza tłumu jest takaż sama, jak dusza jednostek. W dniach powodzenia czuje się człowiek lepszym, miłosierniejszym, łacniej odczuwa cierpienia innych; w dniach niedoli budzą się instynkty egoizmu, nieczułość na dołę bliźnich, a nawet okrucieństwo. Sprawdził się ów objaw i u Warszawian w przeżywanych podczas burzy powstania listopadowego chwilach. Powodzenie oręża w początkach kwietnia nadało moralnej atmosferze ludności warszawskiej cechę pogody, łagodności, pobożności, usposobienia zgoła odmiennego od tego, jakie zapanowało w następnych miesiącach, gdy się rozpoczął szereg porażek i klęsk, zakończonych we wrześniu ostateczną katastrofą.

W kwietniu 1831 r. niebo nawet zdawało się sprzyjać ludności warszawskiej. Po przykrych mrozach i śniegach, prawie aż do końca marca trwających, wiosna nadeszła niespodziewanie wcześniej. Dniem i nocą bywało ciepło. W ogrodach nie tylko gazony, lecz i niektóre krzewy wybijały piękną zielonością, i jaskółki ukazały się wcześniej, niż zazwyczaj, na horyzoncie stolicy. Codziennie też Warszawianie udawali się do „olszynki” pod Grochowem, gdzie znajdowano mnóstwo kaszkietów, kul i ładunków. „Olszyna” składała się z drobnych drzewek, bardzo gęstych. Uważano, że jednego nie masz, które by parę razy nie było ugodzone kulą... W przemowie prezesa Rady Muncypalnej, Garbińskiego, do Warszawian, wezwanych na życzenie naczelnego wodza w sprawie dalszych uzbrojeń, brzmi owa nuta nadziei, wesela i solidarności wszystkich mieszkańców stolicy. Na posiedzeniu w ratuszu była gwardya narodowa, duchowieństwo i starszyzna żydowska. Rada Muncypalna zasiadła w komplecie obok gubernatora i prezydenta.

„Wszyscy bez różnicy łączmy się z sobą — mówił Garbiński — niechaj cała Warszawa jedną całość, jedną tylko przedstawia rodzinę. Niechaj ustaną różnice religii, urodzenia, godności, majątku, bo gdzie jedynym celem wszystkich jest ratunek ojczyzny, tam wszyscy równymi i braćmi sobie być winni. Niechaj możny dopomaga ubogiemu w zaopatrzeniu się w dostateczne zapasy żywności, silny niechaj popiera działania słabszego. Niechaj starcy, niewiasty, panowie i starsi cechowi zachęcają synów, mężów, braci i czeladź do obeznania się należytego z główniejszymi obrotami żołnierza, a przede wszystkim z użyciem broni. Nie myślmy teraz o żadnych przeistoczeniach, o nowych projektach, ale jak najrychlej bądźmy gotowi, w porządku i zupełnej subordynacyi wojskowej, by jak najliczniejsze hufce dobrze uzbrojonych pośpieszyły na wały!”.

Jakoż ofiarność Warszawian odpowiedziała tym nawoływaniom. Nowo utworzony siódmy pułk ułanów wyruszył w pole, przybrany w ponsowe wyłogi, naramienniki i czapki. Instytucje przeznaczone na miejsce zabaw, zamieniły się w lazarety. Dozór bóżniczny porozlepiał po rogach ulic wezwanie do Żydów, aby w ciągu dni czterdziestu złożyli na uzbrojenie srebra i złoto przedmiotów obrządkowych.

Lud wiejski ochoczo zabrał się do pomagania wojsku przy pochodach w pole. Wynosił z chat żywność dla żołnierzy, układał po drodze chróst, deski i płoty dla ułatwienia pochodów i przywracania mostów. *„Dowódcy nie mogą znaleźć dosyć pochwał dla tego zacnego ludu — pisały dzienniki, wzmiankując o udziale jego w walkach — wódz naczelny jednego z nich ozdobił krzyżem wojskowym. Po świątyniach odbywały się nabożeństwa za poległych... Chwile nadziei i zapału prędko minęły... złowróźbne fatum powolnym krokiem zaczęło się zbliżać, na zgńębienie energii ludności. Epidemia cholery tu i owdzie zaczęła się ukazywać i zabierać ofiary...”.* „Warszawa smutny ukazuje widok — pisze Niemcewicz pod koniec kwietnia 1831 roku — zmniejszyła się ludność jej, już to przez obawę niebezpieczeństwa od nieprzyjaciela, już dla wszczętej morowej zarazy, i byłaby bardziej pusta, gdyby nie ruch wozów amuncyjnych, co dzień żywność do obozu wiozących”.

Ignacy Prądzyński, wódz i świetny pisarz, o najzdolniejszym z generałów...

Ignacy Prądzyński (1792 – 1850)

Ignacy Pantaleon Prądzyński herbu Grzymała (ur. 20 lipca 1792 r. w Sannikach w Poznańskim, zm. 4 sierpnia 1850r. na wyspie Helgoland) – generał wojsk polskich. Od 1807 r. w wojsku Księstwa Warszawskiego, **uczestnik kampanii 1809 i 1812**). Za udział w **bitwie nad Berezyną** odznaczony Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Uczestniczył w **bitwie narodów pod Lipskiem** w 1813 r. oraz w **obronie Paryża** w roku 1814. Został kawalerem Legii Honorowej. W następnym roku w stopniu majora przeszedł do służby w armii Królestwa Polskiego i dał się poznać jako **wybitny inżynier wojskowy**, autor m.in. projektu budowy Kanału Augustowskiego 1822-1824. W armii Królestwa Polskiego w kwatermistrzostwie generalnym, następnie **wykładowca taktyki i fortyfikacji**.

Był członkiem Związku Kosynierów i jednym ze współzałożycieli Towarzystwa Patriotycznego (1821). Więziony (1826-1829) za przynależność do organizacji tajnych. W latach 1830-1831, podczas powstania listopadowego podkomendant Twierdzy Zamość, następnie kwatermistrz generalny Sztabu Głównego i dowódca korpusu inżynierów. **Wybitny strateg**, rzecznik zdecydowanych działań zaczepnych. Autor planów wojny z Rosją, częściowo wykorzystanych przez generała Jana Zygmunta Skrzyneckiego. Był też autorem planu koordynacji działań partyzanckich w Królestwie Polskim. **Dowodził w wygranej bitwie pod Iganiami** (10 kwietnia 1831). Po upadku powstania w latach 1832-1833 **na zesłaniu w Wiatce**. W 1834 r. powrócił do Królestwa Polskiego.

Schorowany, leczyl się między innymi na wyspie Helgoland. Tam utonął w trakcie kąpieli morskiej i tam też został pochowany. **Był jednym z najbardziej utalentowanych generałów polskich I połowy XIX wieku**, autorem około 60 prac z dziedziny wojskowości oraz cennych dla historyka obszernych pamiętników; m.in. *O sztuce wojennej - Kurs taktyki* (1822-1823), *Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historii* (1865).

Józef Chłopicki

Z „Pamiętników” Ignacego Prądzyńskiego w opracowaniu Bronisława Gembarowskiego, Kraków 1909 r.

Sprawa się zacznie, skoro ty staniesz na czele, /od ciebie rzecz zależy jedynie; /ty najśmielszy w wierze, /ty jeden najśmielszy w czynie; /ciebie naród wodzem wybierze /i miłość swą w tym jednym zawrze synie... *Wyspiański*

Człowiek to niepospolity... w historii swojego kraju odegrał on rolę krótką, głośną, ważną, ale nie tak świetną jak być mogła i powinna — nie umiał poznać, ocenić ani przyjąć ogromnej sławy, wspaniałej nieśmiertelności, jaką mu podawała szczególnie przyjazna fortuna.

Powierzchność Chłopickiego była imponująca i surowa, a umysł zupełnie odpowiadał tej powierzchności. Nieugięty, uparty, niecierpliw, zbyt łatwo się unosił. Waleczny z natury, urodził się żołnierzem. Dobrze mu było wśród niebezpieczeństw bitwy, rozszerzał się wtedy umysł jego, myśli nabierały jasności. W stosunku do ludzi przyjmował ton wyższości i władzy, budził bojaźń i posłuszeństwo.

Urodził się Chłopicki na Podolu, z drobnej rodziny szlacheckiej. Wcześniej wstąpił do wojska polskiego. Należał do dywizji ukraińskiej, która po przystąpieniu króla do Targowicy, przez Rosjan zakordonowana została i której na wierność Katarzynie przysięgać kazano. Chłopicki umknął do Kościuszki, przybył atoli już tylko, aby widzieć z daleka maciejowicką bitwę. Był w legionach, należał w nich do najlepszych oficerów. Za Księstwa Warszawskiego, umieszczony w legii Nadwiślańskiej, wojował w Hiszpanii. Zbyt długie oddalenie od ojczyzny, lubo go doskonale zaprawiło do wojennego rzemiosła, uczyniło niemal obcym dla kraju, dla rodaków, dla pokolenia, które dorastało dla życia i przyszłości. Rozwinął Chłopicki swe strategiczne zdolności w wybornej szkole hiszpańskiej, ale stępiły się w nim uczucia polskie, wyrodził egoizm... Raniony w wyprawie moskiewskiej, zakończył w 1812 roku swój zawód wojenny pod Napoleonem.

Po utworzeniu Królestwa Kongresowego dostał Chłopicki dowództwo dywizji piechoty polskiego wojska. Człowiek tak nieugięty i napojony wyobrażeniami napoleońskimi, nie mógł znieść władzy w. ks. Konstantego i usunął się od służby. Opinia powszechna w Polsce przyjęła to z uznaniem, przypisując usunięcie się miłości ojczyzny i dotkniętym uczuciom. Mylono się — był to skutek starcia się dumnego umysłu z uniesieniami despoty... Odtąd Chłopicki chciał żyć wygodnie i spokojnie, o oswobodzeniu Polski, wbrew powszechnej opinii, nie myślał... Po wybuchu powstania powołano go na wodza. Przyjąwszy dowództwo, uchwycił ster sprawy narodowej i ogłosił się dyktatorem, co z jednomyślnym poklaskiem przyjęto, bo wszyscy rozumieli dyktaturę i czuli jej potrzebę...

Niepowetowaniem dla Polski nieszczęściem było, że kierunek powstania dostał się w ręce Chłopickiego, mimo że był jednym z najwaleczniejszych żołnierzy, że posiadał nieugiętą tęgość charakteru, dar rozkazywania ludziom, że ze wszystkich generałów polskich był najzdolniejszy, a może jeden tylko zdolny do przywództwa walnej bitwie...

Zostawszy dyktatorem, Chłopicki miał przed sobą dwie drogi: albo tłumić powstanie i oddać Mikołajowi uległą Polską, albo też wziąć się do oręża. Przez osobliwe skrzywienie zdrowego rozsądku umyślił trzecią, pośrednią. Przywidziały mu się negocjacje, poparte uzbrojeniami. Był to błąd niepowetowany... Stanąwszy raz na fałszywym stanowisku, upierał się przy nim, wbrew wszystkiemu i wszystkim; zadał śmiertelną ranę sprawie polskiej, aż wreszcie w potężnym uniesieniu gniewu usunął się od władzy... Popęd rewolucyjny został przez niego zahamowany, ludność bałamucona, przygotowania wojskowe opóźnione, powaga władzy na szwank wystawiona, wreszcie dyktatura, najlepszy wówczas kształt rządu, zupełnie zdyskredytowana...

Zaczynająca się wojna postawiła Chłopickiego na czele sił zbrojnych narodu. Działania nieprzyjacielskie obudziły właściwą jego naturę, każda bitwa umacniała wzajemne węzły między nim a żołnierzami. Nie jest niepodobieństwem, iż w dniu 25 lutego 1831 roku dojrzało w nim postanowienie objęcia naprawdę naczelnego dowództwa i prowadzenia wojny na przebój... Srogie przeznaczenie Polski pozazdrościło świetnej przyszłości, jaka jej się nastęrczała, i być może, że nieszczęśliwy strzał działowy, stokrotnie nieszczęśliwy, usuwając Chłopickiego z pola, zapewnił upadek naszej sprawy, znowu na ten raz zniweczył dzieło naszego odrodzenia i na nowo pograżył Polskę w otchłani nieszczęść...

JÓZEF CHŁOPICKI: urodził się w 1771 roku na Wołyniu, po upadku Rzeczypospolitej wszedł do legionów, odbył wszystkie kampanie pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem. W Hiszpanii dowodził pułkiem legii nadwiślańskiej i otrzymał stopień generała. Zasłynął z odwagi, zimnej krwi i przytomności umysłu. Po upadku Napoleona przybył do Królestwa i wstąpił do wojska polskiego w stopniu generała dywizji. Nienawidzony, prześladowany przez Konstantego, podał się do dymisji.

*...prowadził powstańców do chlubnych i zwycięskich bitew
pod Dębem Wielkim, Wawrem i Iganiami...*

August Sokołowski (1846 – 1921)

Historyk, pedagog, poseł do Rady Państwa w Wiedniu, działacz oświatowy. Absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim, profesor w gimnazjach krakowskich, autor licznych publikacji naukowych, m.in. słynnego czterotomowego dzieła *Dzieje Polski ilustrowane* wydanego w latach 1895-1901 w Wiedniu.

Ignacy Prądzyński

Z książki Augusta Sokołowskiego „Generał Ignacy Prądzyński w świetle własnych pamiętników, korespondencji i nowszych badań”, Kraków 1914 r.

„Wszystkie siły narodowe połączone być winny ku jednemu celowi, ku odzyskaniu bytu politycznego; inne zajęcia mogą nas tylko osłabiać i oddalać. Odzyskawszy byt i utwierdziwszy go na niezachwianych podstawach, wtedy dopiero zajmujemy się kwestiami polityki wewnętrznej, formą rządu i jeżeli już bez tego być nie może, wadźmy się nawet pomiędzy sobą. Wtedy najkrwawsza wojna domowa nie będzie dla ojczyzny tak okropną, jak jest dzisiaj stan jej potworny”.

W tych kilku zdaniach zawiera się **polityczne wyznanie wiary Ignacego Prądzyńskiego**, odbija się jego charakter i wzniosły sposób myślenia. W wyjarzmieniu Polski widział on główny cel swego życia, a jeżeli, zniechęcony przeciwnościami, chwilowo odrywał się od niego i szukał osłody w życiu rodzinnym, to na pierwsze wołanie ojczyzny stawał pod sztandarem narodowym, służył sprawie publicznej z wytrwałością i poświęceniem...

Prądzyński, urodzony w r. 1792, z rodziny szlacheckiej, z tradycji domowej czerpał zasady, ożywiające uczestników Barszczyzny i insurekcji Kościuszkowskiej... Pomny słów Napoleona, że „*naród, zgnieciony przez sąsiadów, może się tylko podnieść z bronią w ręku*”, kształcił się gorliwie i doskonalił w rzemiośle wojennym... Kiedy w roku 1806, po bitwie pod Jeną, pojawił się w Wielkopolsce generał Dąbrowski i dał hasło do powstania, wstąpił Prądzyński do tworzącego się 11-go pułku piechoty, brał udział w walkach pod Gdańskiem. W stopniu kapitana saperów odbył kampanię moskiewską i kampanię 1813 r. pod okiem Napoleona, odznaczył się w bitwie pod Borysowem i podczas przeprawy przez Berezynę...

Wojna stworzyła z Prądzyńskiego żołnierza. Człowiek na wskroś uczuciowy, uzdolniony pisarz, z temperamentem łagodnym, z wyobraźnią żywą, o zakroju poetyckim, nie przywykły do rozkazywania, wyrobił on się mimo to na znakomitego oficera i genialnego twórcę planów wojennych. Słabego zdrowia, znosił wytrwale trudy obozowego życia, na polu bitwy okazywał pogardę śmierci i zadziwiającą odwagę, w najtrudniejszych okolicznościach umiał zachować zimną krew i przytomność umysłu...

Gdy śledztwo petersburskie wykryło istnienie tajnej organizacji Towarzystwa Patriotycznego w Królestwie Kongresowym, zaczęły się aresztowania, więzienia napełniły po brzegi. Pomędzy uwięzionymi znalazł się i Prądzyński. Porwany w nocy, zawieziony do Karmelitów, przesiedział tam, w ponurej celi, całe trzy lata.

W 1831 roku wybitny jego talent wojskowy zaniepokoił naczelnego wodza. Skrzynecki przeszkadzał mu na każdym kroku i nie dopuszczał do odegrania kierowniczej roli w powstaniu. Nie mógł Prądzyński nawet wyzyskać zwycięstwa pod Iganiami i marnował swoje zdolności u boku polskiego Fabjusza... Ani siła woli Chłopickiego, ani siła uporu jego następcy nie podniosły i nie rozwinęły powstania. Dopiero genialne plany Prądzyńskiego dały orężowi polskiemu dawno niepamiętane triumfy. On tylko jeden okazał niesłychaną bystrość umysłu, męstwo, wielkie zdolności taktyczne i strategiczne, a więc najważniejsze dla wodza naczelnego warunki. Ale miał i Prądzyński wady. Był zanadto skromny, otwarty i prostoduszny, nie imponował powierzchownością i nie umiał pozować na wielkość.

Więc choć go lubiono i ceniono, nikt nie wyobrażał sobie, aby ten trochę gadatliwy towarzysz i łagodny zwierzchnik mógł zastąpić gromowładnego Jowisza Chłopickiego, albo współzawodniczyć ze Skrzyneckim, którego powierzchowność zdawała się być stworzona do rozkazywania... Te wszystkie okoliczności tłumaczą, dlaczego Prądzyński, mimo wielkich zalet i wyjątkowego uzdolnienia, nie mógł zająć stanowiska, odpowiedniego swoim zasługom i talentom. I trzeba było wielkiego poświęcenia i oddania się sprawie, aby nie dać się owładnąć zwątpieniu i wytrwać do końca. Z zaparciem się siebie samego, z postanowieniem dobrego obywatela i karnego żołnierza, z boleścią w duszy, pozostał on na wyłomie, aby pełnić swoje obowiązki z równą zawsze gorliwością i z niestety podobnym zawsze skutkiem.

Pracował Prądzyński dniem i nocą, wysilał umysł, tłumiał wrodzoną nerwowość, szedł w bój najkrwawszy, wśród gradu kul i grożącej zewsząd śmierci umiał zachować bystrość umysłową i zadziwiający dar orientacyjny. Czy kierowała nim ambicja? Może. Ale cóż wart żołnierz bez ambicji, lub porucznik nie marzący o szlifach generalskich? Uśmiechały się one zapewne i Prądzyńskiemu, ale stokroć więcej jednak triumf sprawy i nadzieja odbudowania ojczyzny. To pragnienie dawało mu siły, krzepiło jego wątły organizm, z niego czerpał natchnienie do swoich genialnych planów, moc do nieustannej walki z przeciwnościami... Chciał on zmiany w naczelnem dowództwie, nie dla własnego wyniesienia, nie z zawiści do Skrzyneckiego, lecz dla dobra sprawy w przekonaniu o nieudolności tegoż na tak ważnym stanowisku...

Po klęsce ostrołęckiej Prądzyński wskazywał ratunek; beczynność Dybicza obudziła w nim jeszcze nadzieję. Radził rozwinąć energię, wyteńczyć wszystkie siły, uderzyć na armię rosyjską, wydać jej walną bitwę i albo nieprzyjaciela zmusić do odwrotu, albo przynajmniej zginąć z honorem.

Ale tego wszystkiego nie pojmował Skrzynecki i plany Prądzyńskiego odrzucił...

...Gdy przyszło do rozstrzygnięcia, kto po Skrzyneckim weźmie buławę, Prądzyński odmówił stanowczo wysłannikom rządu narodowego. Powody, jakie podał, pochodzące z serca i z głębokiego przekonania, świadczą chlubnie o wzniosłym jego umyśle. Rozrzewniony prawie do łez Barzykowski zawołał: „Znów jesteś tym samym Prądzyńskim, jakim w naszych tajnych związkach byłeś, który ojczyznę ponad siebie kochał”. Że Prądzyński był gorącym patriotą, tego dowiódł całym swym życiem; odrzucając buławę, okazał nadto, że jest człowiekiem rozumnym, głęboko wnikającym w istotę rzeczy, że nie kieruje nim pospolita ambicja, o co go nieraz posądzano...

...Z kapitulacją Warszawy skończyła się wybitna rola, jaką odegrał Prądzyński w r. 1831. Upadek sprawy narodowej był zarazem i jego upadkiem. Tej sprawie służył wiernie przez całe życie, dla niej poświęcał szczęście rodzinne, nią żył i z nią umierał. „*Po ojcu — tak pisał przed śmiercią — zajmowała całkiem duszę moją ojczyzna Przywiązanie do nieszczęśliwej było tem większe, im opłakańszy był jej stan*”. Żądza pomszczenia krzywd, wydzwignięcia jej z upokorzenia, przywrócenia

do świetności — pochłaniała go całkowicie... W czternastym roku życia ujawszy za broń, nie wypuścił jej z dłoni przez ćwierć wieku...

Oczyrna duszy swej widział zastępy narodowe, dążące ku dawnym Batorego szlakom, widział, jak Orły Białe i Pogoń unoszą się nad historyczną Orszą, docierają do prastarych granic Rzpltej. A chociaż zimna rzeczywistość rozwiała te złudzenia, wytrwał do końca i upadł wtedy, gdy już wszystko zawiodło...

...Prądyński, podobnie jak i inni wodzowie 1831 r., nie jest zapewne wolny od błędów, ale zasługami swojemi przerasta wielu. W jakimże świetle przedstawiałaby się następnym pokoleniom historia powstania listopadowego, gdyby nie miała na swoich kartach marcowych i kwietniowych triumfów, gdyby nie mogła się poszczycić Wawrem, Dembem Wielkim i Iganiami? Trzykrotny pogrom wojsk rosyjskich, odstąpienie Dybicza od Wisły, odgłos zwycięstw polskich, napełniający zdumieniem Europę, Mikołaja obawą, to wszystko było dziełem Prądyńskiego... Używał on wszelkich godziwych środków, aby sprawę narodową ratować, ale głos jego był głosem wołającego na puszczy..

...Wywieziony z innymi w głąb Rosji, skazany na wygnanie do Wiatki, a potem sprowadzony do Petersburga, pisał tam słynny swój memoriał o wojnie 1831 r. Odrzucił świetne propozycje cesarza Mikołaja, pozostał wierny sprawie raz poślubionej...

W Petersburgu, wśród bawiących tam Polaków, wyróżniały się dwie postacie: młody Zygmunt Krasiński i Prądyński, przedstawiciele dwóch epok, dwóch pokoleń, **Polski listopadowej i Polski, skazanej na tułactwo**. Pierwszemu zjawiał się na tle petersburskich wrażeń Grek mściciel, który życie poświęcił dla pomszczenia ojczyzny. Drugi porządkował materiały do **Pamiętników**, mających rzucić światło na dzieje powstania listopadowego i na przyczyny jego upadku. Obu łączył jeden duch i jedno uczucie, wielka miłość Polski i ból nad jej niedolą.

Fryderyk II mawiał, że wojna jest dla ludzi genialnych umiejętnością, dla ludzi miernego talentu sztuką, dla ignorantów rzemiosłem. Prądyński należał niewątpliwie do pierwszych. Wojnę pojmował tylko w wielkim stylu, zawód swój traktował naukowo, plany układał jak artysta, ułożone wykonywał, o ile od niego zależało, po mistrzowsku.

Z generałów XIX wieku, po napoleońskiej epoce, dorównywał mu chyba Moltke, który jednak wielkość swą zawdzięczał doskonałej organizacji pruskiego wojska i temu, że, posiadając zaufanie króla, mógł działać swobodnie i samoistnie, podczas gdy Prądyński na każdym kroku nieprzezwykłe spotykał przeszkody, w walce z nieuctwem i słabością marnował znakomite zdolności, z największą dla sprawy narodowej szkodą.

IGNACY PRĄDYŃSKI urodził się w 1792 roku, odbył kampanję 1812 r. przy generale Henryku Dąbrowskim. Za czasów Królestwa Kongresowego należał do związków tajemnych i odsiadywał długie więzienie. Wyróżniał się wysokim wykształceniem wojskowym, bystrością poglądów i obfitością pomysłów. Miał opinię genialnego teoretyka, pozbawionego zdolności praktycznych. Sam o sobie mówił, że czuje się zdolnym do ułożenia planu bitwy dla armii stotysięcznej, lecz nie potrafi rozkazywać stu żołnierzom. Podczas powstania listopadowego posunięty został z podpułkownika na generała i kwatermistrza armii. On to podał Skrzyneckiemu projekt walki zaczepnej z wojskiem rosyjskim, rozrzuconem na znacznej przestrzeni, prowadził powstańców do chlubnych i zwycięskich bitew pod Dębem Wielkim, Wawrem i Iganiami. Niestety, nieudolność naczelnego wodza stanęła na przeszkodzie realizacji mądrych planów Prądyńskiego, zwichnęła powodzenie wyprawy, zakończonej klęską ostrołęcką.

Artur Śliwiński (1877 – 1953)

Zdobycie Warszawy

Z książki Artura Śliwińskiego pt. „Powstanie listopadowe”

W pamiętnym a krwawym dniu 6 września 1831 roku wojska rosyjskie już o godzinie 4 z rana posunęły się naprzód, 100 dział zbliżyło się do fortyfikacji, osłaniających Wolę, i w ciągu dwóch godzin sypało na nie ulewnym deszczem ognia i żelaza. A gdy fortyfikacje zostały uszkodzone, korpusy generałów Kreutzta i Pahlena ruszyły do szturmów...

Rosyanie opanowali najpierw szaniec Nr 55, który dla braku wojsk pozostawiony był bez załogi. Z szanca tego generał Geismar poprowadził kolumny ku **reducie Nr 54**. Jednocześnie zaś ku temu samemu punktowi od frontu posuwał się ze znacznymi siłami generał Sulima.

Tylko pół batalionu broni zagrożonej placówki, ale broni jej dzielnie.

Reduta grzmi, błyska, sypie kartaczami, i jak dymiąca skała, opiera się szturmującym falom. Zbliżają się Rosyanie i z dwóch stron otaczają redutę. Ale kto zdoła wdrzeć się na wały, ten ginie od kuli, lub rażony bagnetem, pada z rozkrzyżowanymi rękoma na ciała swych towarzyszy. Stosy trupów tworzą się wkoło szanca. Ale po trupach postępują Rosyanie — i niby mrowie zalegają zbryzgane krwią okopy. Sroży się nierówna walka, lecz garstka walecznych ulega w końcu przemocy i piechota rosyjska z okrzykiem „hura!” wpada do wnętrza.

Witają ją skrwawione bagnety, i bój morderczy wszczyna się na nowo.

Nagle kłęby białego dymu wznoszą się nad zdobytą placówką, błyskawica ognia otacza okopy, ogłuszający huk rozdziera powietrze. Drży reduta, chwieje się, kołysze, rozpada, — po czym ze strasznym gruchotem, w tumanach dymu i blaskach pożarnych, jak słup ogniisty, ulatuje w niebo...

To lont zapalony rzucono do magazynu amunicyjnego.

Prochy eksplodowały — i zarówno zdobywcy, jak obrońcy, żywi i umarli, działa, broń, wszystko, co znajdowało się w reducie, zginęło pod gruzami, lub wyrzucone w powietrze, jako gruz, powróciło na ziemię.

Tego czynu bohaterskiego dokonał **porucznik artylerii Ordon**. Przywiedziony do rozpacz strata reducy, wysadził ją w powietrze i uczynił z niej cmentarz dla siebie, swoich i nieprzyjaciół...

Z kolei zaatakowali Rosyanie **szaniec Nr 57**. Stu trzydziestu żołnierzy broniło tego szanca z rozpaczą i wściekłością. Ale tysięczne masy, jak nieprzenikniona chmura, przywarły doń i formalnie zalały obrońców. Wszczęła się straszna rzeź, bo do ostatniego tchu walczyli oblężeni i prawie co do nogi legli na posterunku. Wówczas artyleria rosyjska zbliżyła się do głównej fortyfikacji.

Rozpoczęła się kanonada i trwała całą godzinę. Grzmoty za grzmotami nieprzerwanym ciągiem huczały w przestworzach. Noc uczyniła się od dymów, powietrze rozgorzało od ognia, ziemia rozedrgała od lecących po niej z sykiem i świstem granatów. Naraz działa rosyjskie przycichły. Dymy opadły, a wtedy żołnierze, stojący na szancach, ujrzeli idące do szturm kolumny. Zrobiła się cisza. Ku obrońcom Woli szła śmierć i szybkim zbliżała się krokiem... Z trzech stron zagrażano fortyfikacji. Generał Luders z pułkami morskimi posuwał się ku prawej stronie okopów, generał Martynow z połową korpusu Pahlena szedł ku środkowi, a na lewą stronę fortyfikacji wiódł trzy pułki generał Berg.

Świsnęły kartacze Woli, ale za mało armat posiada **Sowiński**, aby powstrzymać szturmujących. Więc Rosyanie posuwają się naprzód, dosięgają wałów, rzucają w rowy faszyny, wory i kosze, wypchane słomą, przystawiają drabiny, podsadzają się na bagnietach i, choć wielu z nich ginie, drą się nieustannie na wały. Szturm po szturmie odpierają Polacy, wysiłki generałów Ludersa i Martynowa idą na marne. Ale część X pułku piechoty, broniąca lewej strony fortyfikacji, ujrzawszy dwanaście batalionów, prowadzonych przez generała Berga, opuściła szanice i cofnęła się poza drugą linię obronną. Ruch ten rozstrzygnął o losie walki. Berg wtargnął do środka fortyfikacji i zajął tyły broniącym się wojskom. Trzeba było się cofać. Skorzystały z tego kolumny Martynowa i przekroczyły wały, tak uporczywie dotąd bronione. Niebawem dwadzieścia kilka batalionów otoczyło ze wszech stron trzy bataliony polskie.

Sowiński gromadzi wkoło siebie żołnierzy i broni się do upadłego. W walce tej ranę odnosi Piotr Wysocki i dostaje się do niewoli. A Sowiński do ostatniego tchu broni powierzonej mu placówki i śmiercią bohaterską reduty obronę tę przypieczętowuje.

Zdobycie Woli przynębiający wpływ wywarło na umysły. Starsi wojskowi zwątpili o skuteczności dalszej obrony — i z chwilą tą los Warszawy został rozstrzygnięty. Wprawdzie Małachowski próbował odebrać utracone stanowisko, ale bezskutecznie. Czwarty pułk piechoty, przeznaczony do wydarcia Woli Rosyanom, z furją ruszył do szturmowania, kilkakrotnie odparty, po kilkakrotnie ponawiał ataki, pozostawiony jednak sam sobie, nie mógł przełamać dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Posiłki przybyły za późno — i Wola pozostała w rękach Paskiewicza....

Położenie było krytyczne. Krukowiecki zwołał ministrów i oświadczył, że dalsza obrona jest niemożliwa, że należy rozpocząć układy. Ministrowie zawierzyli Krukowieckiemu i upoważnili go do zapytania Paskiewicza, na jakich warunkach może traktować z narodem polskim... Misyę tę powierzono Prądyńskiemu...

Tymczasem działa rosyjskie grzmiąły nieprzerwanie. Na całej linii toczył się bój zawzięty. Żołnierze i oficerowie rang niższych wszędzie wypełniali swoją powinność, walczyli z męstwem, umierali z determinacją. Ale nie było naczelnego wodza, nie było zwierzchniczej komendy... Anarchia wkraśniała się w szeregi, żołnierz, walczący bez nadziei, stawał się męczennikiem, z rozpaczą szedł w ogień i z rozpaczą szanice opuszczał. Rosyanie w przeciągu kilku godzin zdobyli drugą linię fortyfikacyjną i bezpośrednio zagrozili stolicy. Już przedmieścia ogarnął pożar... Wtedy Krukowiecki napisał list do cesarza i, kołatając do jego „ojcowskiego serca”, oddawał bez żadnych zastrzeżeń cały naród na łaskę cesarską...

Nastala noc, ponura noc z dnia 7 na 8 września... Łuny płonących przedmieść oświetlały Warszawę, czarne dymy zwisały nad miastem. W blasku pożarnym, jak cienie, krzątali się mieszkańcy. Kto czuł żywiej i głębiej, a zwycięzcom poddać się nie chciał, w czyich piersiach tłała iskra nieokreślonej nadziei, ten pakował drobiazgi i z węzełkiem podróżnym na plecach uchodził na Pragę, by połączyć się z wojskiem. Rozdzierające sceny rozgrywały się wszędzie, na każdym kroku słyhać było jęki, szlochania, przekleństwa. Rozpacz chodziła po ulicach, z każdego domu wiało zniszczeniem i żałobą. Miasto, nawiedzone klęską, wiało się od bólu, łkało rozdzierającym głosem, wybuchało złorzeczeniem. Okrzyk: „Zdrada!": leciał z ulicy w ulicę i krew mroził w żyłach. Lecz czas naglił. Więc ludzie żegnali się, jak przed skonem, wyrwali się z objęć rodzin — i ze łzą w oku opuszczali Warszawę.

Wszystko w największym nieporządku tłoczyło się na Pragę.

Jazda, piechota, artyleria, członkowie Rządu i Sejmu, ministrowie, urzędnicy, mnóstwo ranionych, a ledwo wlokących się o własnej sile żołnierzy, starcy, dzieci, kobiety, wszystko to, niesione zalem lub wściekłością, beładnie posuwało się przez most na Wiśle i w beładnych masach skupiało się na Pradze...

Na drugi dzień, o godzinie 7 rano, zwycięska armia Paskiewicza wkroczyła w mury Warszawy. **Powstanie otrzymało cios w samo serce....**

...po powstaniu wielka debata na temat źródeł klęski...

Józef Bem (1794 – 1850)

Artylerzysta, generał, dowódca artylerii czynnej Wojska Polskiego w czasie powstania listopadowego, feldmarszałek armii tureckiej, naczelny wódz powstania węgierskiego 1848-1849 i zastępca wodza drugiej rewolucji wiedeńskiej.

Wziął udział w kampanii francusko-rosyjskiej 1812 – 1813 w randze podporucznika. Po klęsce Napoleona służył w wojsku Królestwa Polskiego. **W powstaniu listopadowym dał się poznać jako odważny dowódca.** Walczył m.in. pod Iganiami, Ostrołęką i w obronie Warszawy. Po upadku powstania – na emigracji w Niemczech i we Francji. Związany z obozem **Hotel Lambert**. W okresie Wiosny Ludów kierował obroną rewolucyjnego Wiednia. W powstaniu węgierskim dowodził w Siedmiogrodzie i Banacie wojskami węgierskimi. Pod koniec życia przeszedł na islam. Zmarł 10 grudnia 1850 roku. Podobno ostatnie słowa, jakie wypowiedział brzmiały: *Polsko, Polsko! Ja Cię już nie zbawię*. Prochy Józefa Bema sprowadzono do rodzinnego Tarnowa. **Był także autorem opracowań z zakresu teorii artylerii i budowy rakiet** (*Uwagi o rakietach zapalających*). Poniżej fragmenty dzieła: „*O powstaniu narodowym w Polsce*”.

Zachowanie ducha w wojsku

Smutnym przykładem złych skutków, jakie słabe, trwożliwe lub niechętnie umysły na sprawę narodową wywierać mogą, jest nasza wojna niepodległości z 1831 r. We 30000 wojska rozpoczęliśmy kampanię i temi małymi siłami nie tylkośmy stawili czoło całej armii rosyjskiej w pamiętnej bitwie pod Grochowem, aleśmy nawet prawie wszędzie z początku zwycięstwa odnosili.

Lecz jak potem ducha w wojsku sparaliżowano, uciekliśmy haniebnie w 70 000 ludzi przed mało co liczniejszą armią rosyjską już z ostatnich rezerw złożoną; bo stratę ich w ciągu kampanii liczyć można do 200 000 ludzi. Uciekliśmy z naszego własnego kraju, gdzie strata każdego żołnierza mogła być natychmiast zastąpiona, kiedy strata żołnierzy moskiewskich żadnym sposobem zastąpioną być nie mogła. Uciekliśmy haniebnie, a raczej generałowie, którym honor wojska i losy kraju powierzono, wyprowadzili nas haniebnie za granicę, jeden na prawo, drugi na lewo, i to właśnie wtenczas, kiedy parę miesięcy wytrwałości mogło być nawet bez wielkiego krwi przelewu przy tak znacznych siłach naszych i przy nadchodzącej zimie resztę armii rosyjskiej łatwo zniszczyć.

Obowiązkiem przeto najgłówniejszym dowódców wszelkiego rzędu być powinno, aby w wojsku dobrego ducha utrzymywać; aby nawet śmiercią karać tych, co by go osłabiali. Dlatego to do głównej ekspedycji żadnego bojaźliwego, a szczególnie niechętnego brać się nie powinno, a komendy najśmielszym tylko i najchętniejszym wojskowym oddawać bez względu na starszeństwo. Niech ludzie na duchu osłabieni pozostaną na boku, a niech tylko śmieli i odważni idą służyć wojskowo krajowi, któremu wcale o to nie chodzi, aby ten lub ów miał dowództwo, ale żeby niepodległość jego wywalczyć.

Nie od rzeczy będzie zwrócić tutaj uwagę dowódców wszelkiego rzędu na to, że dla nadania dobrego ducha młodemu żołnierzowi potrzeba koniecznie się starać, aby ten w pierwszym spotkaniu się z nieprzyjacielem był zwycięskim. Pierwsza albowiem wygrana zachęci go do dalszych śmiałych czynów, kiedy, przeciwnie, porażka w pierwszym ogniu zrujnować nawet może jego naturalną odwagę. Dowódcy dołożą przeto wszelkiego starania, aby na pierwszy raz młodego żołnierza tylko na pewną prowadzić wygranę.

O wodzach

Na dowódców tak powstania miejscowego, jako i kolumn ruchomych używać potrzeba ludzi energicznych, ochoczych, mających wiarę w swojej sprawie i wzbudzających zaufanie w innych. Przypuśćmy, że przez nazwisko wodza rozumiemy każdego dowódcę korpusu, który sam sobie oddany żadnej rady ani rozkazu od wyższych władz nie odbiera.

Wodzem trzeba się rodzić, tak jak się ludzie rodzą malarzami, muzykami etc.

Każdy człowiek na wódza od natury usposobiony nie potrzebuje do rozwinięcia swojego talentu jak tylko sposobności; komu zaś nieba nie udzieliły zdolności wojennych, temu żadna nauka talentu tego nie nada.

Ani wiek, ani nauka nic tutaj nie stanowią.

Aleksander, Hannibal, Napoleon bardzo młodo talenta swoje rozwijać zaczęli, kiedy Cezar, Fryderyk Wielki i nasz Czarniecki dopiero w późnym wieku wielkie rzeczy robić zaczęli. Wiek przeto na nic nie wpływa, bo talenta naturalne wtenczas tylko rozwinąć się mogą, kiedy okoliczności do tego się nastreczą.

Co do nauki, nikt z książki sztuki wojennej się nie nauczył.

Pierwszym warunkiem dla wodza jest, żeby spotkawszy się z nieprzyjacielem za pierwszym rzutem oka poznał zabopólne położenie, żeby natychmiast swoje determinacją wziął i takową wykonał, obracając każdą okoliczność na swoją korzyść. Tego daru nie nabędzie, jak tylko przez praktykę i na placu boju, człowiek na wodza stworzony w bardzo krótkim czasie, człowiek zwyczajny nigdy.

Wszelkie teoryje, wszelkie książki mogą raczej pobałamucić głowy tych, którym natura usposobienia wojennego odmówiła, bo prawie wszystkie dzieła wojenne są pisane przez ludzi niewojennych, którzy uczą tego, czego sami nie umieją. Poczytuję sobie za obowiązek zacytować nawet dzieła, które u nas za klasyczne były uważane, jakimi są dzieła Panów: Jomini i Mathieu Dumas. Żaden z tych Panów nigdy nic sam nie zrobił i żadnej znacznej komendy nigdy nie miał powierzonej. Zdanie nawet Napoleona o nich jest bardzo niekorzystne. Wojskowi przeto, którzy w nich światła szukają, prędzej sobie zaszkodzić, jak pomóc mogą. Hannibal, co od 9 roku życia swego był ciągle w obozach, najprzód u ojca, a potem u stryja swojego, nie uczył się na książkach, a jednak za wzór wielkich wojowników służyć może.

Karol Wielki (Charle Magne), co z małego królestwa uformował jedno z największych państw, jakie w Europie egzystowały, nie umiał ani czytać, ani pisać (co było dość zwyczajne w czasach tamtych) i dopiero po zawojowaniu Włoch gustu do nauki nabrał i uczyć się zaczął, a więc sztuki wojennej z książek się nie nauczył.

W ostatnich czasach widzieliśmy pod Napoleonem większą część marszałków francuskich, co żadnej nauki nie posiadali.

Nawet wielcy wojownicy, którzy naukę mieli, jako to: Aleksander, Cezar, Fryderyk Wielki, a na koniec i Napoleon, nie naśladowali poprzedników swoich, ale stosownie do czasów, w których żyli, do pojęcia narodów, z którymi mieli do czynienia, do rodzaju broni, jakie natenczas w używaniu były, w ogólności stosownie do okoliczności, w jakich się znajdowali, każdy swój nowy system wyrobił i we wszystkich działaniach tylko swoim jeniusem się kierował.

Nie jest myślą moją odwracać od nauk tych, co się sztuce wojskowej chcą poświęcić, i owszem, radziłbym, aby każdy starał się nabywać wiadomości jeograficznych, statystycznych, historycznych; oprócz tego ochotnicy do artylerji i inżynierji, aby się uczyli matematyki, chemii i fizyki, ale chciałbym tylko okazać, że owej wielkiej sztuki prowadzenia wojny z książek nikt się nie nauczył, wrodzony zaś talent przy pierwszej sposobności sam się rozwinię.

Szczególniej zaś strzec się potrzeba u nas oficerów cudzoziemskich, którzy nie znając ani języka, ani ducha narodowego nie mogą żadnym sposobem korzystnie być użyci. Ci zaś, co by im komendy oddawali, uważani być powinni za ludzi niebezpiecznych.

Niech więc Polska na swoje siły i na swoich ludzi jedynie rachuje. Niech na całej powierzchni kraju wojnę partyzancką dobrze urządzi; niech oddaje dowództwa ludziom ochoczym mającym wiarę w swojej sprawie i będącym w stanie wzbudzić w innych zaufanie, a przy wytrwałości niepodległość swoją odzyska.

Na ludziach z sercem i poświęceniem nigdy Polsce nie zbywało i zbywać nie będzie. Teraźniejsza zaś emigracja posiada jeszcze wielką liczbę dzielnych oficerów, którzy nową generacją na pole sławy wyprowadzić i do działań wojennych zaprawić mogą. Kto wie, jakie talenta w jednych i drugich ukrywać się mogą. Otworzyć im przeto pole do rozwinięcia się przez wojnę partyzancką będzie największą dla kraju usługą.

Zresztą czegoż masa przeszło milion ludzi wojennych wynosząca przy wytrwałości dokazać nie jest w stanie. Miejmy przeto ufność w siłach naszych i to przekonanie, że nic dla nas niepodobnego nie będzie, jak chwila do działania nadejdzie.

Kazimierz Deczyński (1800 – 1838)

Ur. 5 marca 1800, zm. 27 grudnia 1838 – nauczyciel wiejski, uczestnik powstania listopadowego, pochodził z rodziny chłopskiej, pamiętnikarz. W latach 1818-1828 pracował w Brodni jako nauczyciel. Wcielony do armii Królestwa Polskiego, walczył w 1831 roku (awansował do stopnia podporucznika). Po powstaniu wyemigrował do Francji, gdzie napisał *"Opis życia wieśniaka polskiego"* (został wydany jako *"Żywot chłopca polskiego na początku XIX stulecia"* w 1907 roku). Za tę książkę był krytykowany przez środowisko emigracyjne, gdyż wyrażał się w niej negatywnie o powstaniu listopadowym. Pamiętnik ten stał się kanwą powieści Leona Kruczkowskiego pt. *"Kordian i cham"*.

Głos chłopca o powstaniu listopadowym

Według: Kazimierz Deczyński „Pamiętnik chłopca nauczyciela”.
Warszawa 1949, str. 41- 47.

Daremnie szlachta polska usiłuje przekonać ludy, że tchnie duchem wolności, że żądała równej niepodległości, kiedy od wieków zaprowadzonego systemu nawet nie myślała nigdy zmienić. Każdy szlachcic polski woli stracić połowę swojego majątku jakimkolwiek bądź sposobem, niżeli pozwolić na to, ażeby chłopci w jego wsi od odrabiania mu pańszczyzny wolnymi być mieli. Każdy szlachcic polski woli jednego momentu stracić sto dukatów, aniżeli widzieć chłopca polskiego z nakrytą głową stojącego, gdyż to byłaby obraza honoru szlacheckiego, ażeby chłop nie zdejmował czapki przed szlachcicem i nie kłaniał mu się aż do samych stóp.

Wstyd ogarnia dzisiaj emigrację polską we Francji i Anglii znajdującą się, gdy cudzoziemiec opowiada zwyczaj i postępowanie panów polskich względem chłopów, przeto emigracja uniewinniając szlachtę dowodzi, że dla tych powodów w roku 1830 rewolucja wybuchnęła, aby równość, wolność i niepodległość zaprowadzić.

Cóż więc szlachta polska zrobiła lepszego w Polsce po rewolucji w r. 1830 w ciągu dziewięciu miesięcy swego panowania? **Czy panująca szlachta zmieniła jakiegokolwiek prawo i jakiegokolwiek zwyczaj przedrewolucyjny?**

Wszakże wszystkie ustawy, przez cesarza rosyjskiego zaprowadzone, były podstawą prowadzenia rządu porewolucyjnego. Cóż zrobił Sejm porewolucyjny w ciągu dziesięciu miesięcy obrad swoich? Bawił się tylko dyskutowaniem o nadaniu własności chłopom i to jeszcze tylko w dobrach rządowych, przecież i tego nie wykonał, bo to jest przykro usamowolnić chłopca, któż będzie robić pańszczyznę?

Sejm porewolucyjny nie uczynił żadnej zmiany, czymże więc rewolucja 1830 r. dowiedzie, że to było dążenie do zaprowadzenia równej wolności dla wszystkich klas ludu polskiego? Czyliż więc na mocy tych dowodów przypuścić, a nawet i zaprawdę powiedzieć nie mogę o rewolucji 1830 r., że to było powstanie w duchu, aby szlachta odzyskała swoją dawną wolność, swoje prawa, gdy w czasie tejże rewolucji 1830 r., za pokazaniem się kokard trójkolorowych w Warszawie, Rząd porewolucyjny noszenia takowych kokard natychmiast zabronił. Inaczej więc sądzić nie można o duchu powstania Polaków 1830 r., jak tylko aby szlachta odzyskała swoje starodawne swobody, które to starodawne swobody, gdybym tu chciał opisać, trzeba

by rzewnymi łzami opłakiwać skutki z tych swobód w kraju wynikłe, bo aż do samego rozbioru Polski w roku 1795 chłopci wyzuci byli z wszelkich praw, chłopci byli zabijani, gnębieni przez szlachtę jak nieludzie, chłopci byli okrutniej traktowani jak dziś we Francji osły. Ach! Nie zapomnę nigdy, co mi mój ojciec opowiadał o starostach polskich, którzy dobra narodowe posiadali, nie zapomnę nigdy tych okrucieństw, jakich starostowie nad moimi dziadami we wsi Brodnia dopuszczali się, nie zapomnę owego czasu, kiedy nieszczęśliwi chłopci, dziadkowie moi, jęcząc pod jarzmem starostów, przypadkiem tylko i ukradką dostać się mogli z swym uzaleniem do stolicy przed oczy samego króla, a ten przejęty litością wziął nieszczęśliwych chłopców pod swoją wyłączną i szczególną opiekę i ocalił im życie.

Po rewolucji 1830 r. chłopci polscy będąc tak traktowani jak przed rewolucją, pytam się, za co przelewali krew swoją w boju przeciwko Rosjanom? Za co ponosili ciężary wojenne? Kiedy niektóry tylko szlachcic obiecywał temu tylko chłopcu, który szedł do boju, nadać kawałek gruntu, jeżeli na wojnie nie zginie i powróci do domu po ukończonej wojnie. Śliczna nagroda! A jak zginie, cóż za nagrodę dostanie? Za co on swoje życie poświęcił? Oto zapewne w miejsce nagrody pozostały brat poległego w boju będzie chłostany batem ekonomicznym.

Sprowadzano chłopców gromadami do pułków, brano zgrzybiałym ojcom ich synów do walczenia przeciwko Rosjanom, lecz zgrzybiałych starców i pozostałe żony męczono pańszczyzną: a zatem chłopci osiwiwały i pochyły od pracy starzec, który krwawym potem wykarmił swych synów, utracił ich w wojnie, wystawiony jest na większą nędzę, cierpienia i przykrości, wylewa ostatnie krople potu swego na odrabianie pańszczyzny, zamiast dania spoczynku zbolałym od pracy kościom; żona zaś chłopca w boju poległego, zamiast pielęgnowania i strzeżenia małych dzieci w swej chałupie, zostawia je same bez opieki w tejże chałupie i idzie cały dzień na pańszczyznę pracować.

Kiedy chłopców prowadzono gromadami do szyków bojowych, prawda, że wiele szlachty także pośpieszyło na pole bitwy, lecz prawie każdy z nich za przybyciem do pułku, nie znając jeszcze, co to jest służba wojskowa, jeżeli nie przyniósł zaraz w kieszeni nominacji wprost na oficera od Komisji Rządowej Wojny lub regimentarza, to gdy był przy pułku w obozie dni piętnaście lub miesiąc żołnierzem, zaraz dopominał się, czemu go nie awansują na oficera, inaczej już w wojsku służyć ani karabina i tornistra nosić nie chciał; zgoła każdy szlachcic chciał być zaraz oficerem. Dlatego też prawie po wszystkich miastach i w Warszawie mieliśmy mnóstwo oficerów, którzy tam świecili szlifami i wysysali skarb publiczny, zamiast udać się do obozu przeciwko zbliżającym się Rosjanom; czyliż nie można było zgromadzić tych beczynnych oficerów, uformować kilka batalionów piechoty i wyprowadzić ich na pole bitwy, zwłaszcza kiedy ojczyzna w ostatnim niebezpieczeństwie znajdowała się.

Nie obwiniam chłopców za to, iż dezercerowali z obozu, bo czegoż oni bronić mieli nic nie posiadając, zwłaszcza że nie cesarz rosyjski okuł w te kajdany chłopców polskich, nie car ruski nałożył na chłopców polskich to nieznośne jarzmo pańszczyzny, pod którym od dawna jęczą...

Nie obwiniam chłopców polskich, jeżeli nie kwapili się do szeregów na pole bitwy przeciwko nieprzyjaciołom Polski, albowiem ci nieprzyjaciele żadnej im krzywdy nie uczynili, słuszniej zrobiliby byli chłopci, gdyby byli użyli tej siły zbrojnej, tego rozlewu krwi przeciwko swym własnym domowym ciemiężcom i tyranom.

Narodowość polska dziś jest wykluczona z rzędu narodów, lecz chłopci polscy nic na tym nie stracili, bo jeżeli nie są lepiej traktowani, jak byli aż do epoki 1795 r. i wszystkich lat najpóźniejszych, to gorzej traktowani nigdy być nie mogą, chociażby pod panowaniem największego barbarzyńcy. Po cóż więc chłopci polscy kwapić się

mieli do boju przeciwko Rosjanom? Lecz szlachta opływająca w wszelkie swobody czy w ogólności pośpieszyła na pole bitwy? Podobno bardzo wiele nawet młodzieży nie opuściło swych dworów, a ci zaś, którzy przybiegli do szeregów, ubiegali się więcej o dostojęstwa stopnia oficerskiego, aniżeli w chęci poświęcenia życia na obronę ojczyzny. Ja, zostając ciągle z całą kompanią obecny przy pułku, nie znając wygodniejszego spoczynku w obozie tylko na gołej ziemi pod płaszczem żołnierskim, chociaż liczyłem się być przedrewolucyjnym żołnierzem, nie myślałem jednak nawet dopominać się stopnia oficerskiego, bo widziałem w pułku ode mnie starszych i zasłużeńszych podoficerów; lecz przykro mi było widzieć codziennie paniczów prosto z domu przybywających, już ozdobionych szlifami, nie mających jeszcze żadnej zasługi, a już żołd oficerski pobierających. Przeto ci panicze, chociaż w obozie żyją po pańsku, nie znają, co to jest nędza, ja zaś biedny podoficerzyna, jak przed rewolucją w obozie pod Powązkami, tak i po rewolucji zimą i latem pod gołym niebem, kontentować się muszę racją grochu i pół funtem mięsa.

Czyliż więc sprawiedliwie; że ci panicze pozabierali miejsca podoficerom w pułku i boju zasłużonym, którzy to podoficerowie do dziś dnia są podoficerami, jedni w pułkach rosyjskich na Kaukazie, drudzy we Francji, Anglii i Ameryce, jako emigranci. Tych zaś paniczów mamy wyniesionych na stopień kapitanów, majorów — za sześciomiesięczną służbę wojskową po rewolucji. Co do mnie, jaki stopień przed rewolucją, taki i po rewolucji przez cały ciąg kampanii niezmiennie posiadałem. Dopiero już po wzięciu Warszawy w miesiącu października 1831 r. awansowany zostałem na podporucznika, o co nawet nie domagałem się, lecz dzięki majorowi Żylińskiemu i podpułkownikowi Zalewskiemu, ówczesnemu dowódcy pułku 2 piechoty liniowej, że uważali mię być godnym wyższego stopnia, albowiem niech sami zeznają, że wcale przez nikogo nie byli proszeni, aby mię na wyższy stopień protegowali.

Po wejściu armii polskiej do Prus, ach — jakże pragnąłem z całej duszy, żebym mógł powrócić do rodzinnej siedziby i ucałować jeszcze spracowane ręce rodziców moich, których nie widziałem, jak tylko mię wzięto do wojska, lecz prosty i naturalny rozsądek, uwaga na skutki w przyszłości mnie czekające nie pozwoliły mi ucieszyć się tą przyjemnością, bo widziałem przed oczyma nieszczęścia nad głową moją wiszące, będąc pewny, iż w mej rodzinnej chacie mógłbym być zaledwie tyle czasu zabawić, abym się przywitał z rodzicami, gdyż pan dzierżawca tej wsi nie ścierpiałby tam mego pobytu, nie omieszkałby przybyć z swym ekonomem i włodarzami, skępować mię w powrozy i odesłać Kozakom, w całej zaś okolicy nie spodziewałem się znaleźć przytułku i schronienia u szlachty. Zmuszony przeto byłem poświęcić się na tułactwo, niżeli jeszcze wpaść w ręce nieprzyjaciół moich, aby mię znów karmili smrodem po więzieniach, w murach kaliskich, piotrkowskich i warszawskich dla odesłania mię w głąb Rosji do pułków moskiewskich.

Jasny więc dowód, że jestem nieszczęśliwym tułaczem przez dumę i arystokrację szlachty polskiej, ta to arystokracja szlachty zatamowała mi dalszą pomyślność moją w najpiękniejszym wieku i sposobności, gdzie byłem pewny na przyszłość utrzymania przyzwoicie życia mego, gdzie byłem pewny dania nawet pomocy rodzicom moim w ich zgrzybiałym wieku, ta to arystokracja szlachty wyzuła mnie z wszystkiego, co posiadałem, i jest przyczyną, że dziś żyję bez nadziei polepszenia terażniejszego nędznego stanu mego, przepędzając w rozpacz życie moje, gdyż zostaję bez sposobu utrzymania go na przyszłość, nie posiadając dziś żadnego majątku ani profesji, ani sił fizycznych, których mi natura ustąpiła...

Konstanty Gaszyński (1809 – 1866)

Poeta, prozaik, publicysta. Uczestnik powstania listopadowego. Wyemigrował najpierw do Belgii, następnie do Francji. Przyjaźnił się z Zygmuntem Krasińskim.

Czarna sukienka

Pieśń patriotyczna napisana w Paryżu w roku 1832, powszechnie śpiewana w okresie żałoby narodowej po upadku powstania.

Schowaj, matko, suknie moje,
Perty, wieńce z róż:
Jasne szaty, świetne stroje -
To nie dla mnie już!
Niegdyś jam stroje, róże lubiła,
Gdy nam nadziei wytrysnął zdrój;
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Narodowe nucąc śpiewki,
Widząc szczęścia świt,
Kiedym szyła chorągiewki
Do ułańskich dzid –
Wtenczas mnie kryła szata godowa;
Lecz gdy wśród bitwy brat zginął mój,
Kulą przeszyty w polach Grochowa –
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Gdy kochanek, w sprawie bratniej
Mściwą niosąc broń,
Przy rozstaniu raz ostatni
Moją ścisnął dłoń –
Wtenczas, choć smutna, lubiłam stroje:
Lecz gdy się krwawy ukończył bój,
A on gdzieś poszedł w strony nie swoje –
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Gdy laur Igań, Wawru kwiaty
Dał nam zerwać los,
Brałam perły, drogie szaty
I trefiłam włos;
Lecz gdy nas zdrady wrogom sprzedały,
Gdy zaległ Polskę najeźdźców rój,
Gdy w więzach jęczy naród nasz cały,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Paryż 1832

Seweryn Goszczyński (1801 – 1876)

Poeta ze szkoły „poetów ukraińskich” polskiego romantyzmu. Autor powieści poetyckiej „Zamek kaniowski” i powieści gotyckiej „Król zamczyska”. **Był uczestnikiem ataku na Belweder 29 listopada 1830 roku i żołnierzem powstania listopadowego.** Po jego upadku poszedł wraz z wojskiem powstańczym na emigrację do Prus. Pozostawał w kręgu zwolenników Andrzeja Towiańskiego. Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Wyjście z Polski

Wysoko pod niebem żurawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach,
Bez pieśni, bez grania, w milczących szli dumach.
Ich dumy posepne, ich lica w kurzawie.
Gorzkiego, drogiego - i droższej ojczyzny
Będziemy zebrali za sławę i blizny.
Żurawie, co w nasze leciecie krainy,
Zalećcie po drodze do naszej rodziny,
Na skrzydła, na szybkie, żołnierskie łyż weźcie
I matkom, i żonom, i siostronom je nieście:
Niech matki wymodlą, wypłaczą niech żony,
By Bóg dał nam rychło powrócić w te strony.
Napoi was Wisła, krwią naszą opita,
Nakarmi was rola trupami okryta.
Bo my tu nieprędko pić i jeść będziemy!
Nieprędko, nie wszyscy my tutaj wrócimy...
Hej, ptaki do Polski, a my w świat daleki,
Ażeby ją zrobić szczęśliwą na wieki".

Adam Mickiewicz (1798 – 1855)

Po upadku powstania listopadowego wielka rzesza Polaków znalazła się na obczyźnie tworząc tzw. Wielką Emigrację. Potężne skupisko emigrantów politycznych było w Paryżu, gdzie utworzyły się ośrodki: Hotel Lambert (obóz Czartoryskich), Ugrupowanie Lelewela i Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Wszystkie stronnictwa emigracyjne usiłowały posłużyć się autorytetem moralnym przebywającego również na emigracji Mickiewicza i przykroić jego twórczość do własnego programu.

Pan Tadeusz. Epilog

O tym-że dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Za późnych żalów, potępieńczych swarów!

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwie nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.

Bitwy powstania listopadowego

Walki odwrotowe (ofensywa rosyjska na Warszawę)

- bitwa pod Stoczkiem – 14 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Dobrem – 17 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- I bitwa pod Kałuszynem – 17 lutego 1831 nierozstrzygnięta
- I bitwa pod Wawrem – 19 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Białolęką – 24 lutego – 25 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Olszynką Grochowską – 25 lutego 1831, bitwa nierozstrzygnięta, taktyczne zwycięstwo wojsk polskich

Ofensywa Dwernickiego

- bitwa pod Nową Wsią – 19 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Puławami – 2 marca 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Kurowem – 3 marca 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Poryckiem – 11 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Boremlem – 18 kwietnia – 19 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich

Ofensywa Prądzińskiego (na szosie brzeskiej)

- II bitwa pod Wawrem – 31 marca 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Dębem Wielkim – 31 marca 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- II bitwa pod Kałuszynem – 2 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Domanicami – 10 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Iganiami – 10 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich

Ofensywa Sierawskiego

- bitwa pod Wronowem – 17 kwietnia 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Kazimierzem Dolnym – 18 kwietnia 1831, przegrana wojsk polskich

Bitwy ugrupowań partyzanckich

- bitwa pod Nowogrodem – 23 lutego 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Kiejdanami - 29 kwietnia 1831 roku, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Połagą – 10 maja – 14 maja 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Daszowem - 14 maja 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Mariampolem – 22 kwietnia 1831, przegrana wojsk polskich

Wyprawa Chrzanowskiego

- bitwa pod Firlejem – 9 maja 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- Bitwa pod Lubartowem – 10 maja 1831, bitwa nierozstrzygnięta

Wyprawa na gwardie cesarskie

- bitwa pod Jędrzejowem - 13 maja 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Tykocinem – 21 maja 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Nurem – 22 maja 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Ostrołęką – 26 maja 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Rajgrodem – 29 maja 1831, zwycięstwo wojsk polskich

Wyprawa Jankowskiego

- bitwa pod Budziskami – 19 czerwca 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Łysobykami – 19 czerwca 1831, zwycięstwo wojsk polskich

Inne

- bitwa pod Sokołowem Podlaskim – 21 kwietnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Kuflewem – 25 kwietnia 1831, bitwa nierozstrzygnięta
- I bitwa pod Mińskiem Mazowieckim – 26 kwietnia 1831, bitwa nierozstrzygnięta
- bitwa pod Uchaniem – 11-12 czerwca 1831 wygrana wojsk polskich
- I bitwa pod Wilnem – 19 czerwca 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Szawłami – 8 lipca 1831, przegrana wojsk polskich
- III bitwa pod Kałuszynem – 10 lipca 1831 wygrana wojsk polskich
- II bitwa pod Mińskiem Mazowieckim – 14 lipca 1831, bitwa nierozstrzygnięta
- bitwa pod Iłżą – 9 sierpnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- bitwa pod Gniewoszowem – 9 sierpnia 1831, przegrana wojsk polskich
- II bitwa pod Wilnem – 17 sierpnia 1831, przegrana wojsk polskich
- bitwa pod Rogoźnicą – 29 sierpnia 1831, zwycięstwo wojsk polskich
- szturm Warszawy: 6-7 IX 1831 (obrona redut Ordon i Wolskiej, zajęcie miasta przez Rosjan)

**„Głośne czytanie nocą”
w roku szkolnym 2009/2010**
Urodzeni w niewoli – dzieciom Niepodległej
POLSCY HISTORYCY LITERATURY

Harmonogram spotkań w roku szkolnym 2009-2010:

23 października 2009 - autorzy urodzeni do roku 1830

- a) Julian Bartoszewicz 1821 – 1870.
- b) Antoni Małecki 1821 – 1913.
- c) Julian Klaczko 1825 – 1906.
- d) Władysław Nehring 1830 – 1909.

11 grudnia 2009 - autorzy urodzeniu do roku 1846

- a) Stanisław Tarnowski 1837 – 1917.
- b) Józef Tretiak 1841 – 1923.
- c) Bronisław Chlebowski 1846 – 1918.

Luty 2010 - autorzy urodzeni do roku 1863

- a) Piotr Chmielowski 1848 – 1904.
- b) Aleksander Brückner 1856 – 1939.
- b) Antoni Mazanowski 1858 – 1916.
- c) Gabriel Korbut 1862 – 1837.

Maj 2010 - autorzy urodzeni do roku 1875

- a) Aureli Drogoszewski 1863 – 1943.
- b) Ignacy Chrzanowski 1866 – 1940.
- c) Wilhelm Feldman 1868 – 1919.
- d) Konstanty Wojciechowski 1872 – 1924.
- e) Stanisław Dobrzycki 1875 – 1931.

Miejsce spotkań: MDK, ul. Tumska 3; godz. 19.00
Komunikaty na stronie internetowej MDK-u: www.mdk-plock.pl
oraz na stronie Jagiellonki: www.jagiellonka.plock.pl